

spas hristov **szukam pointy**

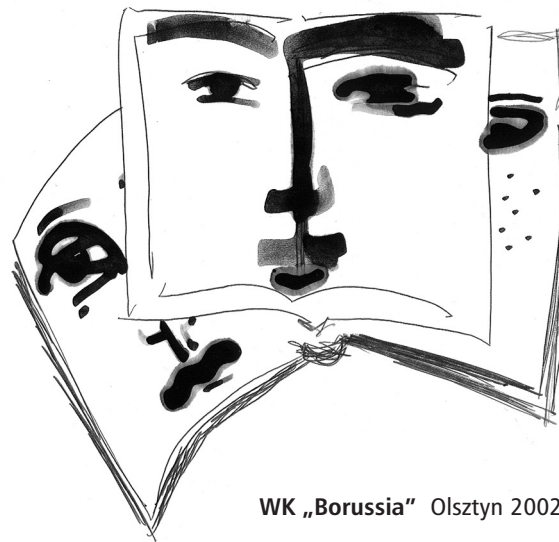
Spas Hristov ur. się w Burgas 8.02.1944 r.
W latach 1964-1968 studiował na Wydziale Teorii
w Sofijskim Konserwatorium.
W latach 1968-1972 studiował na Wydziale Reżyserii
Dźwięku Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej
w Warszawie.
Od roku 1973 do chwili obecnej pracuje
w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych
w Warszawie.

Szukam pointy



Dwudziesta czwarta publikacja BIBLIOTEKI BORUSSII

Spas Hristov
Szukam pointy



WK „Borussia” Olsztyn 2002

Projekt okładki i opracowanie graficzne
Adam Kurlowicz

Rysunki
Julita Wiench

Korekta
Anna Matysiak

© Copyright by „Borussia” Olsztyn 2001
© Copyright by Spas Hristov

ISBN 83-915690-5-5

Wydawca
Wspólnota Kulturowa „Borussia”
10-549 Olsztyn, ul. Mickiewicza 4/316
tel. (0 prefix 89) 523 72 93, tel./fax (0 prefix 89) 534 00 26
e-mail: borussia@rubikon.pl
<http://free.ngo.pl/borussia>

Skład i łamanie
Jerzy Piotrowski

Druk
ZP „Gutgraf”, 10-176 Olsztyn, ul. Bałtycka 131
tel. (0 prefix 89) 523 81 01

Moim Dzieciom

Spacer

7

Jesienne słońce spotkałem dziś w lesie. Buty w liściach, liście w powietrzu, wszędzie. Śladów lata szukałem i nie wiedziałem, czy one były moim, czy też jesieni leśnym marzeniem.

Na ścieżce ujrzałem obsypany liśćmi osobliwy krzak. Zbliżyłem się i wtedy zarys czyjejś postaci zauważyłem.

Liście miała we włosach. Płaszcz jej i buty z liści były uszyte, dziwną mgłę widziałem w jej oczach i głuchą przepastną ciszę.

Słyszałem swój oddech, tę ciszę, a zanim zdążyłem o tym pomyśleć, usłyszałem swój głos. Pytał, jak długo żył będę, po co znalazłem się na tym świecie i czy mi się poszczęści na nim kiedykolwiek jeszcze...

Leśna postać słów żadnych nie wypowiadała, a ja i tak poznawałem w jej oczach wszystko, co tylko o mnie wiedziała.

Bodaj wiatr sprawił, że wraz z szelestem liści uśmiechnęła się i potem zniknęła...

Długo tam stałem. Tak bardzo długo, aż zapomniałem, co się wydarzyło i gdzie się znajdowałem.

W lesie chyba byłem i schadzkę w nim miałem. Schadzkę miałem z sobą samym. Przywędrowałem z daleka i pytam o drogę. O drogę do siebie...

Sen mi się przyśnił, mamó, zabłądziłem wśród umarłych i żywych. Bosą Cię ujrzałem, obszarpaną, a dokoła kałuże, księżyc, błoto wszędy...

Stałaś niedaleko ode mnie i na własne oczy widziałaś, jak umarli uciekali w popłochu na mój widok, a dla żywych, mamó, ja nie istniałem.

Ten sen mnie obudził i nie mogłem już zasnąć do rana. W dzień chleb, wino, świece kupiłem i na Twój grób znów, mamó, sam jeden przybyłem.

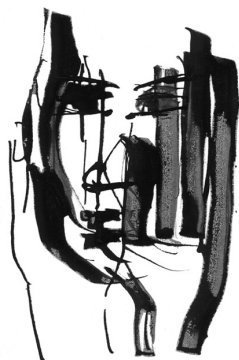
Chleb i wino ludziom rozdałem, świece z Twoich dwóch stron zapaliłem, ukląknę i za Twoją opuszczoną duszę modliłem się szepcząc.

O swoim śnie wciąż myślałem... Dziwnym, niepojętym...

Przyjdź którejś nocy i powiedz mamó, czy to, co we śnie ujrzałem, snem było czy jawą.

Świece dogorywały w zmroku, w powietrzu czułem chłód, a na zdjęciu swoje oczy w Twoich oczach, mamó, widziałem.

Co z sobą poczuję... Pozostawiam Tobie...



Noszę imię po dziadku, który był rodzicem ojca. Taka to już u nas tradycja, ale zastanawiam się, dlaczego tak mało o nim wiem. Słyszałem, że był germanofilem, a jednocześnie patriotą, lubił używać życia, trzy kamienice posiadał, i że na początku stulecia brał udział w wojnach.

Zmarł w szpitalu: nie mógł się doczekać babci, spojrzął przez okno i spadł z taboretu. Było to w latach pięćdziesiątych.

Cenił sobie przyjaźń, rakiję i po pierwszej wojnie światowej przebywał w obozie dla jeńców. Do domu powrócił w łachmanach, zarośnięty i przestraszył troje dzieci i żonę. Co sobotę jeździł dorożką do rzymskiej łaźni, daleko i poza miastem. Po kilku dniach wracał czasami do domu, aż przyszedł rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Ludowa władza i beztroski styl życia dziadka pozbawiły go wszystkiego, co posiadał.

Jakiś czas temu, zlikwidowano cmentarz, na którym dziadek był pochowany, więc przeniósłem jego szczątki do grobu mojego ojca, a jego syna. Ziemia i trzy pokolenia, ktoś wyraziłby swoją opinię, a ja dodałbym dziś słowo: trwanie.

To nie do uwierzenia, lecz pouczano mnie, że „ja” i „on” nie oznaczało „my”, że mogło oznaczać „oni”, albo „wy” i tak się złożyło jakoś, że chciałem lepiej poznać nieżyjącego dziadka.

Zapamiętałem dzień rozkopania grobu, kiedy ze szczątkami dziadka pozostałem sam. Zniekształcona trumna, strzępy ubrania, wyrwane wokół korzenie...

Chcę zrozumieć sens mojego życia. Do bólu, bez biadołenia. Dokądkolwiek bym nie poszedł, co bym nie zrobił i tak mi się nie uda uciec od samego siebie...

Gdzieś na południu

Zauroczyło mnie to małe miasteczko. Tam wszystkie domy zbudowano z drewna. Dawniejsze, wąskie uliczki, nad zatoką kafejki w winnych krzewach, figowe drzewka, urwisko skalne...

Skąpo tu padał cień. Upał i sentymenty.

Znalazłem się w opustoszałej cerkwi nieopodal. Półmrok. Płomyki kilku świeczek, zapach kadzidła i zaciśnięte moje powieki... Zdawało mi się, że byłem sam przez czas dłuższy, zanim uwagi mojej nie skupiła postać starszej kobiety w czerni przed ołtarzem.

Krzętała się po cichu i palcami dogaszła już wypalone świeczki. Starła się nie przeszkadzać mi.

Wyszedłem, znak krzyża uczyniwszy przedtem, pożywiłem się rybą upieczoną na ruszcie i zdążyłem w stronę kafejki, kiedy zobaczyłem znów tę kobietę w czerni i z cerkwi.

Na ławce pod drzewem siedziała i w samo południe podśpiewywała sobie.

Mój Boże, głos miała silny jeszcze, donośny. Zawodził przenikliwie smutny a przy tym z głębi piersi, wolny, radosny. Melodia co chwilę rwała się, chwytła za gardło. To się nie da opisać. Ludzie śpiewali tak na początku świata.

Starsza kobieta śpiewała o tym, że dziewczyna nie wiedziała, czy na ślub swój może zaprosić pierwszą swą miłość i czy to nie będzie grzech ciężki, wielki.

Usiadłem obok. Długo tak jeszcze śpiewała...

Dokończyłem kawę, myśląc o powrocie. I dochodziłem do przystanku, kiedy nieoczekiwanie zbliżyła się do mnie ta sama kobieta.

Spojrzała mi w oczy. Ręką dotknęła mojego ramienia.

„– W życiu tak to już bywa, że gdzie ból i smutek, tam później zwykle pieśń się rodziła...”

Nie wiedziałem, po co mi to powiedziała. Nie zdążyłem zapytać. Odeszła powoli na czarno ubrana cała aż niewidzialna w tej swojej wytopionej czerni.



Rozbierało mnie

Dawały mi się mocno we znaki gorączka, suchy kaszel, ale to nie było wszystko jeszcze... Zjawą przyszła do mnie... Spowita w czerní, mierzyła mnie swoim wielkim, purpurowym okiem, a ściany wokół nie przeszkadzały jej zbyt...
 – Lubisz mnie, mój chłopcze?
 – Czemu pytasz?
 – Chcę pójść z tobą na spacer, tu jest tak gorąco, duszno...

– Nie znam cię...

– Spotkaliśmy się nie więcej, jak dziewięć lat temu, na dwa tygodnie przed odejściem twojej matki.
 – Może ja sobie lepiej poleżę ...nie gniewasz się...
 – Jeśli tak, to powiem ci coś...

Jej głos przypominał mi jako żywo, głos mojej mamy, kiedy wypowiedziała na końcu nazwisko i imię kolegi... słyszałem to na pewno.

Nieomalże w tej samej chwili włączyło się światło, przyszedł mój syn. Od kilku godzin nie mógł się dodzwonić do mnie, a tak w ogóle przygarnął przemarzniętą suńkę, która spała wraz z nim, z noskiem na wpół schowanym pod poduszką. Chciał pójść z nią do weterynarza i prosił mnie o pieniądze dla niej i dla siebie.

– Czy mam wyłączyć światło?

– Tak, dziękuję Ci.

Ciemno, bezruch, a nie potrafię oka zmrużyć. Mówiła, że przeze mnie pomieszało jej się w głowie i gryzła moje palce, żeby nie krzyknąć... Jestem za stary, niezamożny, ale mówiła, że to właśnie dlatego i przynosiła mi cukierki i pomarańcze, opowiadając o planetach w swoim nieudanym życiu...

Telefon odezwał się, wstaję, uderzam głową w lampę, dresy, kamizelka, trzęsie mnie. Pewna dobra dusza zaprasza na promocję książki napisanej już dawno, przez niezjącego od niedawna pisarza.

Postanowiłem tam pójść. Po drodze wpadłem do pracy. Dowiedziałem się, że nagle zmarł na zawał serca mój starszy kolega.

Wieczorem próbuję zasnąć z włączonym światłem i rock and rollem z radia.

No dobra już, dobra. Nazwisko oraz imię zmarłego kolegi, nie pokrywały się z tymi, które usłyszałem od niej, ale taka sama była pierwsza litera ich imion.

Do pokoju za ścianą, wrócił po tygodniu kot i słyszę, jak starsza pani z nim rozmawia. Świszczy mi w płucach.



Otwarte okno, przeciąg. Wleciały liście, a zza fotela wydostał się jedwabny, mały szalik.

Znów jesień i resztki kompleksu nabytego po Edypie...

Na balkonie ptak porwał kotu śniadanie, a ja nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

Już wiem. Zachodziłem w głowę nad wyborem drogi, bez względu na trudności wszelkie i przeróżne przyczyny.

Zgłodniały ptak, który chciał zostać przy życiu, narażał je niefrasobliwie, kot mimo woli trochę się zagapił, a ja, choć nie musiałem tego robić wcale, zakochałem się w jednej męźtacie.

Wszystko potem ułożyło się jakoś. Ptak został przy skrzydlatym życiu, kot rozkoszował się kolejną porcją wątróbki, a ona odeszła.

Garść liści, przeciąg i moje inklinacje...

Wolnej woli nie było, nie, nie było.

Chyba jednak się uchowam.



Parę tygodni później, znów nastał poranek i znów przyfrunął ten sam wygodniały ptak, lecz na balkonie nie było ani kota, ani też wątróbki.

W pokoju byłem tylko ja, był stolik i na nim poprane skarpetki, podkoszulki, „Sacrum i przemoc” Rene Girarda, a w głowie miałem to pytanie, odwieczne i przygnębiające.

Co wydarzyło się w tamtych odległych czasach, po raz pierwszy. Morderstwo czy też akt tworzenia.

Pomimo że byłem na to za młody i za głupi, myślałem tak długo i dogłębnie nad tym, że aż nie spostrzegłem nawet jak ni stąd ni zowąd wyskoczył kot i w jednej krótkiej chwili...

Mój Boże, cóż mogłem począć. Otworzyłem szybko balkonowe drzwi, lecz ptak już nie żył. Po wtóre i niebawem ułożyłem jego ciało w reklamówce z napisem WFDiF i pochowałem pod orzechem. Pamiętam, że umyłem ręce, kot udawał że nigdy nic się nie stało i razem powróciliśmy do siebie Kot i ja. Była godzina za pięć dwunasta wtedy.

Usiadłem, kot pomrukiwał poetycznie, a ja kontynuowałem bieg swoich wcześniej rozpoczętych myśli.

Kot najwyraźniej uważał mnie za współuczestnika tego zajścia, ptak choć już nie żył, uczynił z kota balladzystę, próbował uczynić ze mnie zaczarowanego filozofa, a zatem kim był ten fenomenalny ptak. Mam swoje zdanie na jego temat, lecz z różnych powodów nie śmiem o nim ani mówić, ani pisać...

Zapomniałbym. W tym roku jesień przyszła wcześniej, a ona wpadła po swój jedwabny szalik i odeszła.

Reasumując: ptak leżał pochowany pod orzechem, kot mruczał, ona odeszła, przyszła jesień, a ja zastanawiałem się nad innym nie mniej istotnym zagadnieniem.

Kto dzisiaj zaczął? Ba! Żebym to ja wiedział...

Fatalna pogoda. Mam przemoczone ubranie, dokuca kac. Moja mama nie żyje, rozwodzę się z żoną ... Jestem bez grosza... jak na złość. Październik i parasole. Deszcz. Wpadam do przyjaciół, pożyczam od nich pieniądze.

– Zjedz coś.

– Dziękuję.

Wysyłam. Jutro w sądzie rozprawa. Pierwsza w życiu. Będzie mój syn, żona, dwie jej przyjaciółki, jej siostra, adwokat, policjanci patrzą na mnie spode łba. Jestem mężem tej oto tam pani w futrze, choć może nie wyglądam na faceta tego pokroju. Mniejsza o to.

Sąsiedzi wyłamali drzwi od naszego domu i zanim dowiedzieli ją do szpitala, już mama nie żyła. Lekarz powiedział mi, że przestała brać insulinę...

Pojechałem tam. Było trochę znajomych, przyjaciół, stypa i noc w pustym domu. Pod pościelą znalazłem złoty pierścionek i krzyżyk. Chcę o tym zapomnieć. Praca i książki, żeby móc żyć zdany na siebie.

Pomógł mi pewien młody adwokat.

– Czy on był ze swoją żoną szczęśliwy?

Zastanawiała się moja żona głośno, natomiast jej adwokat opowiadał nam o naszych małżeńskich kolacyjkach, lecz dla bezpieczeństwa jednak każdy musiał pozostać z osobna i najlepiej bez niczyjej winy, że w moim życiu zawdzięczałem wszystko żonie, i że spokojny, mówiła o mnie w sądzie jej siostra, tylko, że miał zwyczaj uciekać...

Mój syn się ożenił. Stałem się dziadkiem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy odeszła mama i wtenczas właśnie zacząłem grzebać we wspomnieniach, chcąc siebie przypomnieć.

Wszystko potrafi mnie teraz zadziwić i wzruszyć. Krowa, która na polu odgania ogonem muchy, cielątko, co się do człowieka łąsi, słowo „żegnaj” na szkolnej tablicy, bukiet

kwiatków, wieś, którą upodobały sobie bociany...

Pytałem, czy one przynoszą szczęście... ale kolegów i ludzi we wsi interesował tylko bociani small business. Dzisiaj już nikt w bociany nie wierzy.

– Czemu się smucisz?

Zapytał mnie kolega w samochodzie, kiedy wracaliśmy z tej wsi do Warszawy.

„– Masz pracę, zarabiasz, jesteś wśród przyjaciół, którzy Cię lubią?”

No właśnie. Są w tej mojej opowieści luki, co brzmią jak prośba o pojednanie. Odpowiedziałem:

„– Nic nie mów, bo się rozplacę.”

Tak stoją sprawy ze mną... Trzymaj się ciepło. Hej. Na razie...



Mara przychodzi o świcie. Wytęskniona, niczym nie okryta. Wargami mnie dotyka i przywiera do mnie rozedrgana... Chcę ją posiąść, a wówczas co tchu, spłoszona, umyka.

Pozostawia pustkę jedynie i nocne zmaży... Dziwnie mi... i nie potrafię dojść z tym do ładu. Ostatnimi czasy zaczęła pojawiać się ledwie ukradkiem, gdy nagle trzy noce temu zdałem sobie sprawę, że ona była bez twarzy.

Strapiony, nie mogę się jej doczekać i chcę ją zapytać, co się z nią dzieje i dlaczego właśnie mnie to wszystko spotyka. Zasypiam i wciąż do rana wsłuchuję się w ciszę. Co będzie, jeśli przyjdzie, a ja we śnie tego nie poczuję.

Którejś nocy zmęczony przysypiam i wtedy słyszę, że wchodzi do pokoju, ubrana od stóp do głów w zbroję.

Wstaję, aby się z nią przywitać, a ona mnie na podłogę przewraca, dosiada okrakiem, spiżem obłapia i bierze siłą.

Od tamtej pory co noc przybywa. Kto wie, tej nocy też, być może niebawem...

A ja od pewnego czasu nie mogę się sobie nadziwić, słowo daję...

Zaraz. Muszę to przemyśleć. Ależ nie!

Dochodzę bowiem do cichego przekonania, że w zamieszaniu olśniewających porywów nocy przestaję jej pragnąć.

Ja już chyba się starzeję...

Moi Rodzice już nie żyli. Dom stał pusty. Wróciłem. Ciszą mnie przywitał i kurzem.

Nadchodził wieczór, kiedy z książki leżącej na półce wypadła fotografia.

Niebieskie oczy, uśmiech dziecka, włosy długie i jakby ze starego złota...

Elena. Na odwrotnej stronie napisała kilka ciepłych słów, swoje imię, datę. Czerwiec... Lat temu wiele...

Kochaliśmy się na poddaszach. W starych, opuszczonych domach, czasem w morzu, na fortepianie albo o zachodzie słońca pod drzewami na trawie...

Dwa lata minęły w okamgnieniu. Później musiałem wyjechać, chciałem się uczyć. Pamiętam, jak na peronie stała w swojej najładniejszej sukience. Gdzieś samotnie świeciła żarówka. Niczego więcej nie zapamiętałem.

Spotkałem ją po latach. Spacerowaliśmy nad morzem znów razem. Była knajpa, butelka i zaszumiło w głowach. I w sercach...

Zapytałem, trzymając ją mocno za rękę, jak to się dzieje, że wciąż jest tak piękna.

Odpowiedziała mi, że to było proste. Czyniła zwykle to, na co miała ochotę.

Do dziś nie wiedziałem, co myśleć o jej słowach. Zdjęcie schowałem i udałem się do moich dawnych przyjaciół.

Ucieszyli się na mój widok. Poczęstowali śliwownicą, a ja smaku śliwownicy nie czułem...

Jechałem autobusem moim ulubionym traktem królewskim, miałem nowe buty na nogach, parę groszy w kieszeni i drogocenny bilet miesięczny. Ogólnie byłem zadowolony ze swojego życia, zwłaszcza z tego, że tu w tym wehikule nikt mnie nie wypytywał, kim jestem, gdzie i skąd przybywam...

Parę razy zdarzyło mi się na te pytania odpowiedzieć i wówczas, nie wiedzieć dlaczego, wokół mnie robiło się zawsze pusto.

Nagle jakiś pies gdzieś zaskowyczał. Pani naprzeciwko czytała książkę, widzę tytuł: „Rola orgazmu w naszym codziennym życiu”.

Wczoraj, na przykład, znów mnie pytano, kim był mój ojciec, kim moja matka, kto z nich miał lepszego nosa do interesów i czy to, co miałem w oczach, czy też w głowie, może dostałem w spadku po swoich dziadkach...

Pani wciąż czytała i czytała, a przy tym zmieniała gwałtownie swoich pięknych kolan pozycję...

Oni nie dawali za wygraną i mniemali, że to było nie do uwierzenia i że któryś z przodków Turkiem, Grekiem może był, lecz z pewnością nie był Słowianinem...

A tak w rzeczy samej, z takim imieniem jak moje niezłe chyba miałem układy z tymi, co urzędowali w chmurach, czy też może w niebie.

„Kupiłam sukienkę w kolorze kawy pomieszaney z mlekiem.” – powiedziała jakaś pani, a po chwili usłyszałem, że ktoś inny lubił pyzy jeść z majonezem.

Jeśli o mnie chodzi, lubię się ubierać na zielono, lubię czytać wiersze, lubię samotność, cygańskie romanse i proste, skromne jedzenie. Często mam kilkudniowy zarost na twarzy, noszę dzinsy, nieuprasowane koszule i wymyślam ludzi i przeróżne niemądre zdarzenia. Żałuję, że nie odróżniam jeszcze, kiedy ktoś mówi do mnie prawdę, a kiedy okłamuje i przyznaję, że wierzę też w prz znaczenie.

Niedawno pewna pani dała mi do zrozumienia, że można byłoby mnie pokochać, takiego jakim jestem.

A mnie się wierzyć nie chce i niech mnie licho weźmie, jeżeli wysiądę kiedykolwiek z tej bryczki, choćby miała nie wiem jak wiele tych rozpędzonych koni mechanicznych, ja już tu zostanę. Mnie się tu podoba, choć sam nie wiem, dokąd jadę i gdzie przyjdzie mi dziś przenocować...



U górników byłem na biesiadzie piwnej. Panie nosiły na głowach wianki ze sztucznych kwiatów, panowie wychylali mnóstwo kufli piwa, był wodzirej, tapacze, orkiestra i kolejka przed toaletami, a dziewczeczka szła, szła i sala aż falowała, drżała.

Oj, dziewczeczko, ja znów byłem smutny tego grudniowego wieczora, chociaż już dwa kufle wychyliłem, pożywiłem się upieczonym kurzym udkiem, a dookoła mnie same roześmiane twarze.

Zazdrościłem tym ludziom, którzy tak się potrafili bawić, jakby przyszło im się nie odnaleźć już nigdy później. Miło, rzewnie teraz i ja niby tutaj, a gdzieś z boku, daleko. Cóż ze mnie za człowiek. Warto by było tam z wami pozostać. Tak „być” gdzieś podoba mi się z rzadka.

Trzeba było wracać, a po drodze do domu widziałem choinki w oknach, padał mokry śnieg...

Tarot, północ i w pierwszym domu Wisielec. Oj, dziewczeczko, dziewczeczko, gdzie Ty pozostałaś. Ten kufel pozostał mi tylko po Tobie, lecz jeśli się on komuś spodoba, odżałuję go. Tak będzie mi łatwiej o Tobie i o tej biesiadzie, dziewczeczko moja, zapamięć.



Smętny uśmiech nosił na twarzy, a na głowie kapelusz, z którym był za pan brat.

– Połamaniec, kulawy – ludzie mówili o nim, on zaś odpowiadał im, że jest prawidłowy, gdzie trzeba i zdrowy jak rydz...

Dom jego znajdował się na skraju wsi w małej kotłince, a oprócz niego miał trochę ptactwa, dwa psy, długi i rentę.

Owego dnia krzątał się między kurami przed domem, kiedy usłyszał z oddali spłoszone głosy psów, koni i jakieś żałosne piszczenie saren.

Niedługo potem doszedł do niego rumor i coraz głośniejsze dudnienie, wyostał się z psami na dach i zobaczył spiętrzone wokół fale... Mętne, brązowo zielone, kipiwały, zabijały, niszczyły.

Ostupał, zaklął. Zdążył zaryglować drzwi. Zabrał wodę do picia, koce, jedzenie, a kiedy znów wrócił na dach, poczuł na ścianach domu potworne uderzenie żywiołu.

Dom zachwiał się. Jednak wytrzymał, choć tonął i w ciągu godziny woda już była prawie pod stopami. Powoli fale zamierały i nastąpiła straszna cisza.

Słyszał od czasu do czasu tylko skrzywienie domu. Jakieś drzewko wypełnęło na wierzch. I ten zgniły zapach, co się z wody wydzielał.

Woda była wszędzie. Przed nim, pod nim, za nim. Nad nim pozostał Bóg, a po trzech dniach i trzech nocach przyszli żołnierze. Podpłynęli i zabrali go siłą. Noc spędził w szkolnej sali. Powodzian było tam wielu. Płakali, twarząmi do ścian, kłócili się o swetry, buty, koszule. Nie zasnął i nad ranem wstał. Zabrał trochę wody i chleba. Na zewnątrz psiaki czekały na niego.

Znalazł łódź i ile miał tylko w rękach sił, powiosłował w stronę domu, przed siebie...

Od ludzi z dala i wodzie na przekór.

U siebie

Często mnie różni ludzie pytają, jak tam jest u ciebie, w tym twoim kraju. Od lat słyszę tu i tam to samo pytanie i zdarza mi się długo zastanawiać, co, komu i jak odpowiedzieć.

Otóż latem, w lipcu tego roku wróciłem do miasta, gdzie swego czasu się urodziłem. Już pierwszego dnia podczas mojego pobytu, odbyłem uliczkami spacer nad wyraz sentymentalny i długi.

Sony, Philips, Bosch, Marlboro i Mercedes w osobach młodych i ponętnych dam składały mi ukłony gdziekolwiek bądź byłem....

Odniosłem też wrażenie, że oczekiwano, abym zechciał porozmawiać z nimi po obcemu. W sklepach zaś nie było ludzi wcale, a na placu grał ten sam peruwiański zespół. Spotkałem go w Warszawie, w Moskwie i w dawnym Wschodnim Berlinie.

Od razu poczułem się swojsko i bardziej pewny siebie. Siedziałem w knajpie i kończyłem szopską sałatkę, kiedy usłyszałem, jak ktoś gra na gitarze i rzewnym głosem śpiewa romanse. Pomyślałem sobie, że to na pewno jakiś nędzarz. Zbliżył się i rozpoznałem w nim szkolnego kolegę. Stał się wielce zmieszany w pobliżu mojego stolika, zaprosiłem go do siebie i potem wypiliśmy trochę, do ciężkiego licha...

Żona go rzuciła, miał dwójkę dzieci, a w pracy zarabiał ledwie, ledwie. Zapłakał w gęstym dymie papierosów, a kiedyśmy się rozstawali nie chciał wziąć ode mnie ani grosza. Przypomniałem sobie, wychodząc z knajpy, że w domu wszystkie żarówki są przepalone. Sklepu z żarówkami szukałem, lecz nie znalazłem. Trudno...

Posiedzę po ciemku i będę spał i spał.

Rano, jak się obudzę, pójde nad morze i popłynę hen tak daleko, że aż choć raz w życiu porozmawiam z naszym dziarskim Stwórcą.

Podziękuję mu za słońce i cudowne morze, za to moje zdrowie i za odzyskaną wiarę w siebie.

Ciężko mi jednak, mój Boże i czuję się nie raz sobą Tobą zmęczony, a nie ma już tej siły, co dawniej żądała ode mnie, abym znów przyплыł do oddalonego brzegu.

Boże, wesprzyj mnie, proszę...



Spotkałem go przy kawie. Mówił mi, iż dziś skończył pięćdziesiąt cztery lata, a ponieważ urodził się w roku czterdziestym czwartym, to suma cyfr owego roku dawała osiemnaście, a „osiemnaście” było z kolei zawsze liczbą księżycową.

– Księżyc to ułuda – powiedział – to zdrady i utrapienia. A on do tej pory widział w nim jedynie swoje marzenie.

W jego życiu było przez pięćdziesiąt cztery lata trzy razy po „osiemnaście”, ale to już koniec, musi się to zmienić, gdyż suma cyfr obecnego roku to dwadzieścia siedem.

Od tej liczby odjąć też musiał dwadzieścia dwa Major Arkany i tak oto nowa liczba się w jego życiu zjawiała, liczba „pięć”, która w porządku Arkanów Tarota, oznacza wedle niego papieża. Papież – to jest ktoś, kto wtajemnicza ludzi w sens życia i objawia jego tajemnice...

Złożyłem mu powinszowania, ale on mnie już nie słyszał, ani też nie widział, powiedział tylko, że papież klucze od bram piekła i nieba trzyma.

Wtenczas zrozumiałem, ile było w nim rozpaczliwej chęci, aby móc choć na chwilę, gdzieś tam, w przyszłości zobaczyć siebie.

Przychodzę do pracy, a tam czeka kwestionariusz. Nie taki sam, jaki był przedtem, teraz trochę inny, lecz i tak jestem pod obserwacją. Uśmiechy, zęby, nogi, pończochy, a w nich kolana.

Podaj numer kodu, numer ewidencji, numer peselu, nipu, płci i wykształcenia. Tępo, pokornie i uważaj. Zaczynamy.

Numer mieszkania, nazwa ulicy, data urodzenia, marka samochodu, dokąd chcesz jechać, najlepiej nie teraz i nie myśl o wakacjach.

Dalej. Mam trzy pary spodni, sandały, dwie pary butów, dwie marynarki, cztery koszule, bieliznę i dwie kurtki.

Pisz drobniuzgowo i wyraźnie. Klamra. Alleluja i bagatela. Nie mam samochodu, karty kredytowej, mieszkania, maklera i świadectw udziałowych.

Dygresja. Wzrost średni, lekka nadwaga, płaskostopie, wzdęcia, kran z zimną wodą i z ciepłą.

Co jeszcze? Ustępowanie, oczy piwne, paradontozę, trochę książek i wciąż jeszcze marzenia.

Podaj rozmiar penisa. Jestem Homo sapiens, czasem Homo erectus i Homo ludens.

Podaj, ile zarabiasz. Mam dwóch synów. Rodzice nie żyją, bezpartyjny, a obecnie też prawie bez grosza.

Suplement. Zawsze byłeś nikim. Podpis niepotrzebny. Możesz podpisać i tak nikt twojego podpisu nie zechce przeczytać. Podpiszesz?!

Podpisuje się. W pokoju obok gospodyni zasypia, a w radiu grają Dziewiątą Bethovena.

Wpisz datę. Dwudziesty stycznia. Rok: tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Pewien człowiek budował dom. Ufał, iż znajdzie w nim bezpieczne schronienie. A tak pragnął mieć swój dom między ziemią, piekłem a niebem, że aż do dziś, co się wielu ludziom nie mieści w głowie, własną duszę gdzieś zawieruszył.

Od tej chwili dziwną słabość odczuwał, obcość i niechęć do wszystkich ludzi. Był zaskoczony, zwlekał, myślał, iż nie zasłużył, ale że to z upływem czasu przejdzie, wierzył, że wszystko minie.

Którejś nocy jednak, ze straszliwym hukiem, odwiedził tego człowieka jego niedokończony dom i ludzkim głosem zażądał duszy dla siebie.

Zerwał się ze snu wielce znużony i długo zastanawiał się, co począć. Problem polegał na tym, iż nie wiedział, czyją duszę ma złożyć w ofierze. Własnej nie miał, jego mama miała kupiecką, zaś u córki w duszy były dąsy, gniewy i grymaszenia. Żona za to miała duszę urokliwą, piękną, lecz skoro nie oddała kiedyś duszy jemu, to i teraz nie zmusi jej, żeby oddała swoją duszę domowi.

Długo trzymał to wszystko w sekrecie, kiedy nagle odkrył, iż śnił na jawie, a żył we śnie. Raz jeden, zdarzyło się to nocną porą, szedł we śnie ścieżką noga za nogą. Dorosły wyruszył przed siebie, a im dalej odchodził, coraz to bardziej w młodego człowieka się przeistaczał.

Gdy miał siedem lat, ujrzał krzyż, na nim wiszącą postać i jej twarz obolałą. Na krzyżu poznał siebie, a gdy z pomocą pośpieszył i z korony zaczął wyskubywać ciernie, usłyszał:

– Nie czyn tego. To mi nie przeszkadza.

Chłopiec stanął jak wryty, ale doszedł jakoś do siebie i dalej litościwie wyskubywał ciernie.

Postać na krzyżu zapytała wzruszona:

– Powiedz, jakie masz chłopcze życzenie?

A chłopiec powiedział:

– Pragnę tylko zdrowia i szczęścia dla siebie.

– I to wszystko?

– No i dla całej mojej rodziny.

– I co jeszcze?

– I dla wszystkich ludzi.

– Żądasz za wiele – padło w odpowiedzi.

I znów był sam na drodze...

Czynił sobie wyrzuty, iż źle postąpił i że zamiast wyskubać ciernie, winien powymować z rąk i nóg gwoździe, pokrwawione całe i zardzewiałe z zobojętnienia.

Zabłądził. Dom stał niedokończony, a ten człowiek spał i spał i już się nie obudził. I tak to zostało. Nic się już w jego życiu chyba nie zmieni.



Zaczął się od słów „I ty też tutaj, Spas?”. Kolega z ekipy w ten sposób zażartował ze mnie i choć to był tylko żart, nie wiedziałem, co chciał tak naprawdę przez to powiedzieć. Moment rzeczywiście był historyczny, jak pan Minister zauważył w samolocie, i postanowiłem puścić w niepamięć te słowa mojego kolegi. Aczkolwiek rzecz działa się w Brukseli, w Głównej Kwaterze NATO, tuż przed Mazurkiem i przed wzniesieniem flagi. Były przemówienia, oklaski, orkiestra dęta i gratulacje.

Siedziałem w fotelu, w kularach, tuż po skończonej pracy i pożywiałem się kanapką z warszawskim żółtym serem, kiedy operator z belgijskiej telewizji skierował kamerę na mnie. Pomyślałem sobie, co ja takiego mogłem zrobić. Ubrany przecież byłem przyzwoicie, tak mi się wydawało. W jednej chwili zrozumiałem wszystko: byłem kimś głodnym i bez pieniędzy, bez ogłady i bez wyczucia tej całej sytuacji, tymczasem z ludźmi mojego pokroju Belgowie dziś wiązali swoje przyszłe losy. Mogłem się mylić i nie protestowałem. Zacząłem obserwować polskich, węgierskich, czeskich kolegów i przyjaciół.

Palili cygara z wdziękiem, rozmawiając po cichu, ten i ów szukał dyskretnie na darmo pisuaru. Nikt się nie kwapił, żeby zapytać o to kogokolwiek z NATO.

Jeśli zaś chodzi o mnie to ja oczekiwałem na odlot samolotu. W nim okazało się, że nie byłem w tym swoim zachowaniu odosobniony, a duszony indyk z warzywami w śmietankowym sosie poprawił mój humor i skorygował moje spojrzenie na dzień jutrzejszy.

Proszę tylko sobie wyobrazić. Wyleciałem samolotem o godzinie szóstej rano z Warszawy do Brukseli, następnie zabrali mnie samochodem z lotniska w Brukseli do Głównej Kwatery NATO, z Kwatery NATO pojechałem samochodem na lotnisko w Brukseli i teraz znów leciałem samolotem

w doskonałym towarzystwie, z polską kartą stałego pobytu, bułgarskim paszportem i z duszą drażliwego Żyda.

No i dobrze. A teraz co z tego mogłoby wynikać? Ano to, że chciałbym odnaleźć się zdrowy i cały na ziemi i Brukselę kiedykolwiek w swoim życiu zobaczyć.



Bieda w tej wsi była, że aż piszczalo. Na tacy w kościele grosiki same, a pewien mężczyzna opowiadał nam, że ludzie kradli tu wszystko, oprócz gówna i gorącego żelaza, i żeby cokolwiek można było w tym stanie rzeczy zmienić, należało wyciąć tu w pień wszystkich dorosłych, a potem jeszcze wyciąć następne trzy ich pokolenia.

Był też kulig, dla bezrobotnych. We wsi mieszkali tylko tacy ludzie. Kupiliśmy im kiełbasę na ognisko, a przyszło kilkoro dzieciaków. Były i o PGR-ach rozmowy, nowe kosze na śmieci, pomalowane przystanki, butelka „Arizony” za dwa pięćdziesiąt, a ludzie w tej wsi zapomnieli już chyba pracować i na zasiłki czekali miesiąc w miesiąc...

A poza tym dziś w pokoiku i za ścianą spokój. Umilkły telefon, telewizor, kserokopiarka, a w łazience kran z wodą. Kot dostał na kolację wątróbkę, ja mam orzeszki, pomarańcze i czerwone wino. Dziś była wigilia Bożego Narodzenia. Trochę wspomnień, nadziei i raduję się ciszą. Zresztą, nie wyobrażałem sobie świąt, gdziekolwiek indziej spędzonych.

Zaprosił mnie jednak mój młodszy synek, lecz o umówionej porze już było po opłatku i po wieczerzy. Mój starszy syn spał, synowa zmywała w kuchni naczynia, a mnie poczęstowano odgrzewanym karpem i herbatą. Czytałem też swoje wiersze. Żonie nie spodobały się, wzruszyły synową i to by było na tyle.

Ja wiem, że mną jest fatalnie. Jestem człowiekiem nieprzewidywalnym i ambiwalentnym. Czyli coś tam jest takie go we mnie, co czymś innym jest najczęściej, ale na pewno już nie tym samym. Inaczej to ujmując, jest we mnie kilku osobników.

Jak sobie z nimi daję radę? A no więc właśnie. Bardzo dziękuję i od razu wam powiadam, że ja nie narzekam. Jakoś tam dopasowujemy się do siebie i trzymamy się razem. Zdarza się, że jednemu w głowie się przewraca, drugi chodzi jakby kij połknął, a mnie i tak korona nie spadnie. Co mi tam.

Czasami jest mi jednak trudniej, przyznaję. Raz ten mnie łapie za gardło, drugi raz tamten za serce, inny żąda ode mnie pieniędzy, sławy, czwarty chce porozmawiać natychmiast z Bogiem. Jeszcze inny zaś pragnie tylko tej jednej kobiety, następny...

Wydało się... Jest ich we mnie dużo, dużo więcej, a za tem coś w nagłówku powinienem zmienić, lecz to słowo w nim brzmi tak wyjątkowo pięknie.

Problem, według mnie, jednak tkwi w czymś innym, a mianowicie – czy ktoś taki jak ja mógłby pisać kuplety, na przykład. Jeszcze z nimi tej nocy porozmawiam o tym...

Odniosłem te kuplety następnego dnia skoro świt do bliżej nieznaney mi oficyny, ale od paru tygodni wydawca milczy, niestety. Ja mu się nie dziwię. Jak nas zobaczy, orzeknie zapewne, że te kuplety są dla niego za ambiwalentne.

Co mi tam. I tak będę pisał i tak będę. Nawet i to ostatnie zdanie znów wyszło mi ambiwalentnie.

Na zewnątrz skwar. W pokoju duszno. Leżałem zamyślony nad życiem... Ile to lat minęło od tamtej nocy w płomieniach, gdy ze szczurami uciekałem, prawie bez ubrania, bez domu i bez butów.

Pamiętam, w stronę morza uciekałem już jako dziecko. Tam mnie znajdowano, tam mama płakała i mówiła, że tylko ja w jej życiu istniałem, lecz szczęśliwa ze mną nie była.

... I ten stary dom wśród krzyków mew, odgłosy morza, koc nad głową. Schowany pod nim śniłem często i zapomniałem, kiedy nastawała noc, a kiedy dzień się rozpoczynał...

Zbyt długo pozostawałem dzieckiem – myślałem w stońcu wtedy na cmentarzu, gdy w trumnie zasłaniałem cieniem twarz matki. Co mogłem w tym upale więcej zrobić dla niej?

Te moje myśli i wspomnienia zadawały mi tyle bólu, smutku, cierpienia. Nie wypatrzyłem, jak i którędy one przybywały do mnie. Wszak pozamykane były okna, drzwi.

A może skwar je przyprowadził, co skradał się chyłkiem, cicho, powoli, aż przedostał się do mojej duszy i w niej na długo się zadomowił.



Może jednak wam opowiem, jak to było po kolei...

Któregoś dnia zachciało mi się wskrzesić w kajeciku przeżycia i wspomnienia. Wciągnęło mnie i uwierzyłem, że to mi zostało przeznaczone, kiedy ni stąd ni zowąd, z różnych stron i o różnej porze, zacząłem słyszeć głosy różne i nieznanne... – Dyletant, profan, gryzipiórek – gardłowali jedni, a drudzy psuli krew, wyszukując w moich literackich próbach, uzależnienia od Krasińskiego i od Miłosza.

– A tak prawdę mówiąc – dorzucali znów pierwsi – skoro tak dużo wyludnionego czasu miewasz, spróbowałbyś po polsku to napisać i najlepiej byłoby bez tych potocznych słów i bez tych niemodnych rymów.

Doszło też do tego nawet, że jak idę nie raz i nie dwa ulicą, boję się spojrzeć w stronę jakiegokolwiek księgarni. Kątem oka jednak widzę, jak zza szyby pomachali do mnie Tuwim, Leśmian, Rilke, Brodski, a ja im wtedy natychmiast zmykam i nie chcę nawet myśleć o Szymborskiej w takich chwilach.

Straciłem głowę i przestałem czytać. Wciąż mi się wydaje, że ktoś podgląda, podsłuchuje i chce mi życie złamać...

Wczoraj na przykład dwa głosy przemówiły we mnie naraz. Pierwszy głos należał do takiej jednej starszej pani, która i teraz wróżyła mi na dwoje, a ten drugi to był głos starego chasyda. Radził, abym się nie przejmował i pozostał nikim, tak jak on bodajże sto pięćdziesiąt lat temu uczynił. Nie miałem najmniejszej jednak ochoty poddawać własnej osoby takiej wyczerpującej próbie.

Tak oto wyglądały z grubsza moje utrapienia poczęte w wiązanej nieopatrznie mowie. Co jakiś czas chcę pozbyć się swojego literackiego bzika, a później natychmiast jest mi go trochę jednak szkoda.

Milej żyć bowiem w stanie, w którym brak jest dowodów na własne istnienie.

Co chwila dają się usłyszeć tajemne słowa „d'ejá vu”, a wówczas wszyscy poważnieją, gdyż oto zetknęli się na własne oczy z czymś, co jest niełatwe w rzeczy samej nawet do wyobrażenia. Krajobraz, twarz, żydowska stara kamieniczka, a ludzie nieruchomieją nagle i przestaje dla nich wszystko wokół istnieć.

Sam to przeżywałem, lecz mnie niepokoi od pewnego czasu inna, nader osobliwa melancholia.

Do późnej nocy oglądałem znów rozmaite fotografie...

Odkryłem w spojrzeniach, w sylwetkach, w grymasach uśmiechniętych twarzy i postaci tak wiele śladów nieudolnie odgrywanych ról, które jak gdyby w geście ostatniej woli dla kogoś były, sam nie wiem, być może dla mnie na dzień jutrzejszy przeznaczone. Wydawałoby się, że tych ludzi nigdy przedtem nie znałem i że wraz z nimi nigdy nie byłem.

Czy już kiedyś miałem takie wrażenie?

Byliśmy przed laty zakochani z taką jedną dziewczyną, a spotkałem ją o zmroku otoczoną czymś ramieniem...

Może już tam to się zaczęło...

Rodzice, czasy powojenne, szkoła, wojsko, rodzina starali się ulepić ze mnie zupełnie innego człowieka. Mnie z nimi nigdy nie było...

Nie miałem też zbyt wielu przyjaciół. Niedawno jeden z nich przeliczył naszą przyjaźń na pieniądze. Mnie z nim nie było...

Był za to czas, kiedy mój syn krępował się swojego nazwiska, a ja sam z tego samego powodu, kiedy byłem w tłumie śpiewającym hymny na cześć i chwałę Boskiego Namiestnika, doznawałem uczucia lęku za czyny, których nigdy się nie dopuściłem. Mnie z nimi wtedy nie było...

Koledzy, znajomi lubią sobie pogadać o szybkich samochodach, o akcjach na giełdzie, o kielbaskach, o piwie i o komputerach. Mnie z nimi nie było...

Czuli się dotknięci. Musiało to być widoczne na mojej twarzy, ale są oni w gruncie rzeczy wyrozumiali dla mnie. Niektórzy z nich wiedzieli, jak mam poplątane ścieżki swojego sumienia. Wiem,

wiem... Jeśli tak dalej pójdzie, zostanę już niedługo sam. To fascynuje mnie, a czasami przeraża. Wtedy zwykłem mówić do siebie: tylko się nie rozczulaj. Wiesz dobrze przecież, że ciebie od dawna tu już nigdzie nie ma.



Powróciła znów ta z dawnych czasów zastyszana opowieść. Noc, hotelowy pokój i pod Krakowem smutna mała mieścina. Podniosłem się z pościeli, migotliwe światło neonów, kartka papieru, pisak.

Ludzie mówili do niego: „Tomaszu”. Po ojcu miał Iwaszko na imię i urodził się bodajże gdzieś w połowie ubiegłego wieku. Wieś, skąd pochodził, biedna, sam był w życiu. Nosiło go po lesie, po polu z kosturem w rękę, wysoki, zgarbiony, z torbą lnianą. Pracował u pana dziedzica i ziemniaki sadził, trawę kosił, a nade wszystko lubił czytać książki. Wypożyczał je w dworku, potem dziękował, mówił, że za jego czytanie gotów był nawet za darmo u nich pracować. Kiedy po raz pierwszy całą ścianę pokrytą książkami zobaczył, wówczas powiedział, że jemu wystarczyłoby jeno małe z nimi okienko. Najwięcej czytał o historii, Kraszewskiego też książki i te od Rodziewiczówny.

Ludzie słyszeli, gdy w pobliżu przechodził, jak mówił pod nosem do najjaśniejszych mości albo innym razem do chłopca, co baby zjednać sobie nie umiał.

Lubił też bajki opowiadać, a bajki były takie, jakie nikomu nigdy się nie obity o uszy. Nie raz siedział przed cerkwią i słuchał chórów. Nabożeństwo już się skończyło, siedział jednak i dumiał, a potem znikał ludziom z oczu na długo.

W trzydziestym dziewiątym, kiedy był już bardzo leciwy, ratował książki z płomieni i nad nimi płakał.

Dzień jutro zaduszny, panie Tomaszu. Czy dziś ktoś do pana przychodził i czy pana grób ocalał z tej zawieruchy na wierzchu?

Gospodzi, pomiluj panie Tomaszu, a moje dwa groby daleko. Czy pan znał to uczucie. Byłem na kilku dziś cmentarzach i wzruszony przeżywałem pośród innych ludzi to ich pamiętanie w chłodzie i w deszczu.

Zapalę jutro pod wieczór, panie Tomaszu, trzy znicze pod cmentarną ścianą, w pobliżu pałacu po polskim królu Janie

Sobieskim. Chciałbym Cię tam ujrzeć wraz z moimi Rodzicami, gdyż jesteś mi bliski, panie Tomaszu. Będę na was czekał.

Mam siwe włosy, a będę odziany w przywską zieloną kurtkę.

Gospodzi, pomiluj, panie Tomaszu. Będę na was czekał.



Do pokoiku zwykle wchodzę po cichu. Drzwi ostrożnie za sobą zamykam, a one skrzypią, przeraźliwie krzyczą. Wiem, wiem, nie jestem u siebie w domu...

Po ciemku siadam jeszcze ciszej. Z wielkiej szpary pod oknem wieje. Nagle zaczynam je słyszeć. Idą. Od strony lewego ucha, są w mojej głowie, w płucach, w sercu i w okolicy mojego brzucha.

Przewijają się po marmurowych posadzkach, na wysokich i rozkołysanych obcasach. Idą w moją stronę, długonogie, podniecone, smutne.

Otaczają dookoła czułe, kuszące, zakochane, obłudne.

Zamykam oczy. Ten ich rytm zniewala, przeraża. Moje łędwie w głowie pulsują i już nie potrafię zapanować nad sobą.

Nieraz też nocą przychodzą. Stają samotne pod drzwiami. Chcę te drzwi otworzyć, a wciąż brak mi odwagi...



Niewiele już pamięta ze swojego życia. Może to, że przeżyła męża, i że przeżyła potem swojego syna...

Mieszkała pod jednym dachem z córką i z zięciem i często mówiła sama do siebie: „Bogu dzięki”.

Niekiedy miała przed oczyma tę małą dziewczynkę, jaką była przed laty i sama nie wiedziała, czy nie było w tym trochę przesady, żeby nosić to aż tyle czasu w pamięci.

Z zapartym tchem podeszła kiedyś tam w kącie do niej, zajrzała do jej środka, a potem aż przykucnęła z lęku i z tego niesamowitego wrażenia. Okrycia, garnitury, sukienki nabierały nagle kształtów postaci zaczarowanych, zaklętych.

Dyndały na wieszakach bez głowy, bez nogi, bez ręki.

Poczuła się nieswojo i czym prędzej wydostała się z niej, „Bogu dzięki”.

Odnajdywała tam czasem różne schowane prezenty.

Otrzymywała je, wydawałoby się za późno albo za wcześniej. Wpadła na pomysł, aby poszukać w niej miejsca i na małą skrytkę dla siebie.

Nawet i dziś trzyma w skrytce w tajemnicy przed córką i zięciem parę groszy na czarną godzinę.

Któregoś dnia usiadła znów naprzeciwko niej i słuchała tych jej opowieści, kiedy młodzi nieoczekiwanie weszli i rzekli, że następnego dnia z samego rana zamierzają wynieść ją z kąta do piwnicy i żeby babcia z niej pozabierała te swoje tobołki, rupiecie, rzeczy...

Wstała skoro świt. Usiadła naprzeciwko niej, ale tym razem ona nie odezwała się...

Słyszała potem jak broniła się, skrzypiała i zawodziła.

Wszyscy sobie poszli. Nareszcie została sama. Zaczęła się ubierać powoli i niebawem wyszła z domu.

Starszą panią znaleziono nocą w piwnicy. Siedziała obok starej szafy i powtarzała sama do siebie: „Bogu dzięki”.

Skupuję nieprzydatne sny

Jeśli ktoś ma, za taki jeden sen zapłacę złotych dwa, a może też i złotych trzy...

Chcesz wiedzieć, co mi jest? Nic takiego.

Chciałbym zobaczyć w naszych snach, kim dawno temu byliśmy, a kim jesteśmy teraz.

Ja i może nawet Ty...

Nie bądź zakłopotany, jeżeli odkryję Twoje tajemne marzenia, udręki. Trochę o tym słyszałem, wiem.

Pieniądze, sukces, władza, seks i ten za nimi przyczajony nasz odwieczny smutek...

Zbyt często coś w życiu nie wychodzi i wtedy zdarza się, że Cię ogarnia lęk. Jeszcze nie wiesz, a gdzieś czujesz. Zostałeś dla innych stracony, a i dla samego siebie czasem też.

Spójrz. Kwiaty i owoce zatraciły już swą magiczną moc, a zwierzęta ludzkim, bojaźliwym wzrokiem spoglądają. Dawniej ze wszystkim stanowiłeś jedno, aż zacząłeś później żyć swoją chwilą.

Pamiętasz...

Zastanawiasz się zapewne, po co te slogany, albo jaki mogę w tym mieć ukryty cel. Chciałbym jedynie kupić te Twoje sny, zanurzyć się w nich głęboko, porzucić zmysły i chciałbym, abyśmy się mogli kiedyś w naszych snach odnaleźć. Ja i może nawet Ty.

Sądysz, że to są jedynie tylko Twoje sny...

Jeśli tak, zapłacę parę groszy więcej. Przestałeś komukolwiek ufać...

Cóż, trudno. Bywaj zdrów!

Żałuję, że my wszyscy tak niewiele z siebie rozumiemy...

Obietnica

Zaskoczył mnie zapach świerków w mieście. Bardzo go lubiłem. Tak jak zapachy kawy, świeżego chleba albo zapach czystej domowej pościeli...

Ilekoć o tym myślałem, czułem się małym dzieckiem. Zupełnie, jak w tej chwili, kiedy sam przed siebie szedłem.

W podniszczonych spodniach i w starych butach grałem mollową sonatę. Koledzy za oknem grali w piłkę, a babcia gotowała znów beźmięsną zupę. Myliły mi się cisy i bemo-le, allegro, crescendo, andante, fortissimo. Tamtego popołudnia nie chciało mi się już grać tej sonaty. Chciałem usiąść w kącie i popatrzeć na choinkę...

Zrobiło się zimno. Przydałyby się drobne zakupy. Jeszcze parę dni i już święta.

Po drodze na wystawie sklepu spotkałem Świętego Mikołaja. Życzył wszystkim pomyślności, zdrowia i szczęścia... Obiecywał, że to wszystko może się zdarzyć, jeśli coś kupię w tym sklepie.

Dałem się skusić i wszedłem... do spożywczego sklepu z niewielkim w zmarzniętych rękach koszykiem...



Sylwester z magnetofonem, pod pałacem. Przepycham się przez tłum. Zimno mi. Przed chwilą kolega poczęstował mnie pigwówką i teraz czuję, jak idzie prosto do głowy. W pobliżu mignęła postać tańczącej kobiety. Było coś niezręczystego w jej ruchach. Chcę ją zobaczyć z bliska. I stoję za plecami grupki rozbawionych ludzi. W świetle sztucznych ogni i przy dźwiękach grającej orkiestry młoda kobieta tańczy wokół mężczyzny na wózku. Zapamiętam wyraz jej oczu, czuły uśmiech, wargi poruszone niestyszalnym głosem...

W niespełna tydzień później spotkałem znów tę parę na ulicy i ponownie dzisiaj. Nachodzą mnie jakieś dziwaczne myśli, kiedy ich widzę i wszedłszy do pokoju próbuję zapomnieć o tym. Czcze wydarzenie. Wszystkie miejsca siedzące są już zajęte i słucham głośnej muzyki...Wczesnym rankiem zatelefonował z seminarium mój młodszy syn, składając mi powinszowania z okazji urodzin. Na trzy dni przed czasem. Zabawne. Ale wracając autobusem z miasta, widziałem w nim dziwną panią. Nosiła długie, nieuczczesane włosy, a gdy spoglądała w moją stronę pełnym ironii spojrzeniem, traciłem pewność siebie. Wtem między jednym a drugim znakiem krzyża, jaki uczyniła zamaszystym ruchem ręki, zapytała mnie czy wiem, kiedy wypadają moje urodziny w tym roku i zaczęła chlipać żałośnie. Wysiadłem czym prędzej. O, o! Lata. Cholerny świat z tymi molami. Nie potrafię sobie poradzić z nimi i już... Lubię te „moje” utwory. Zabierają mnie ze sobą gdzieś daleko stąd. A wiem, że jeśli im się poddam, mogę nie wrócić... Ktoś puka:

– Proszę tam ciszej!

Wypiłem ciut, ciut za dużo. Ale ci ludzie, proszę panią, którzy to skomponowali, należą do mojej najbliższej rodziny. Wszyscy już nie żyją... Wystarczyło, że ktoś okazuje mi odrobinę zainteresowania i wówczas robię się zbytnio gada-

tliwy. Trudno jest ze mną wytrzymać. Zresztą powiedziałem jej o tym rysie mojego charakteru jeszcze podczas pierwszego obiadu w bufecie. Boże, jaka ona jest piękna! Młoda bardzo, a jednocześnie odczuwam w niej dojrzałość niecodzienną, smutną, pełną tajemnic. Wczoraj zaskoczyła mnie pytając, czym jest duch a czym dusza, gdyż nieraz już coś w niej pragnęło, żeby wyrwała się ze swojego ciała, tak jakby ono było piekłem za życia. Próbowałem odpowiedzieć na jej dylematy, pomagając sobie myślami Steinera, kiedy tak jakoś spojrzała na mnie, że mi aż ręce zaczęły dygotać, waliło serce. Zauważyła to. Więc musiałem odłożyć nóż, widelec, a ręce schować pod serwetą. Co dalej? Nie wiem. Nie mam pomysłu. Nawet teraz denerwuję się, opowiadając o tym. Muszę się uspokoić.

– Przecież ja pana z domu nie wyganiam. Dokąd pan idzie?

– Muszę wyjść.

Puste ulice. Padają kawałeczki lodu. Zygzakowato, na przełaj. Nie jeżdżą samochody i autobusy. Wielkanoc z piosenką Josephiny Baker. Niby wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że nie pamiętam, jakie są dalsze słowa piosenki i nie znam tego języka. Powtarzam jednak i powtarzam jej początkowe słowa bez końca, w zamyśleniu... Powiedz coś. Tylko nie mów, że jestem zbyt dziecinny. Jestem duży! Rozumiesz? Jestem naprawdę już duży. Nie wiem, jak mam ci to wytłumaczyć, ale... to boli. I proszę cię przestań śpiewać. „Słyszysz?!”

Bębna bicie słyszałem. Nieziemskie, a jakieś niesamowite...

Raz, drugi, krótkie, raz głośniejsze, dłuższe, znów dwa krótkie i w kółko przez cały czas, aż kołysało się w tym rytmie wszystko o tak!

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Szybko na dwór spojrzałem, a tam świt się mroczył albo zmierzch może świtał...

Półprzytomny z domu wybiegłem i na kulawym osie pędziłem po obcej mi i nieznanej krainie.

Słońce świeciło tam pospołu z księżycem, a po drodze kobiet nie widziałem, ani nawet mężczyzn, tylko samych ludzi, zwyczajnych i nawzajem sobie życzliwych...

Wciąż nie wiedziałem, gdzie byłem. Na tej ziemi w górce czy w niebie na dole...

Bęben bił coraz głośniej i coraz to bliżej.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Przybłąkałem się na wielkie pastwisko, wokół tańcowali ludzie, ptaki, zwierzęta. Kwiaty, góry, wody i drzewa...

Ślub brała zacna dobroć z niegodziwym złem, a na bębnie natchniony i we własnej osobie grał nasz Pan Bóg.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Dobroć dostała w upominku niegodziwość, występek, grzech. Zło zaś poczciwość i szeroki szlachetny gest...

Pobógosławił ich Właściciel ziemi i nieba, a ja się prze-

zegnałem po kryjomu i zachodziłem w głowę, czym parę młodych miałbym obdarować. Przytaszczyłem swoją bojaźń jedynie i swoją dziecięcą naiwność. Obdzieliłem ich uczciwie po równo i zacząłem wraz z innymi tańczyć w podrygach.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Tum tum tuuuuum tum tum.

Siedem dni i siedem nocy wesele trwało. Wracałem pieszo, znużony do domu. Jakoś było mi lżej, jednak oczyma duszy widziałem, że przyjdzie mi żyć trudniej teraz, bez lęku, zuchwale i z pychą...



Ze słuchawki wydobywał się jego przepity głos:

– Jesteś za delikatny. A poza tym między tobą a nią nie widzę innej różnicy oprócz tej, że ona ma cycki, a ty ich nie posiadasz.

Przypomniał sobie, że lubiła też zbyt często zaglądać do kieliszka, i że na dłuższą metę on by z nią nie wytrzymał. Choć owszem, należało obiektywnie stwierdzić, że jest niezwykle efektowna i inteligentna. Był ciekaw – o czym rozmawiałem z nią przed kilkoma dniami w wytwórni, ponieważ jak to sam określił, po tamtej rozmowie stała się moim medium i chodząc po mieście, przepowiadała różnym ludziom, na jego własnych oczach, przeróżne wydarzenia.

Po chwili zatelefonowała ona sama:

– Dostałam numer twojego telefonu od niego. Powiedział mi, że masz nieprzyzwoicie zazdrosną żonę... Ach, wynajmujesz pokój u jakiejś starszej pani... No, ale mam nadzieję, że jednak z nią nie sypiasz... A w ogóle musimy się spotkać i o wszystkim spokojnie porozmawiać... Czy nie wydaje ci się, że cię próbuję uwieść...

– Żartujesz! – i to chyba było wtedy właśnie, kiedy uprzytomniłem sobie, jak bardzo chcę tam powrócić. Och, ty duszo moja, ty duszo...

Pani za komputerem długo szukała w nim czegoś, a potem oznajmiła mi, że to miasto w komputerze nie istnieje. Tak, tak i owszem, słyszała o tym mieście od starszych kolegów, ale od pewnego czasu zmieniono u nich komputerowy system. A w „Neckermanie” po przeciwnej stronie placu nie prowadzili rejsów w tamte rejony świata. Poszedłem do Bułgarów. Tam okazało się, że obcy kapitał wykupił większość akcji „Bałkanu” i że na skutek tego ograniczono liczbę lotów z Sofii do Burgas do niezbędnego minimum. A ja chcę tam polecieć! Znalazło się miejsce dla mnie.

Wróciłem na poddasze. Starsza pani siedziała jak zawsze w fotelu przed telewizorem:

– Niech pan usiądzie. Przed chwilą oglądałam program...

Pani Anna urodziła się koło Nieświeża. Jej rodzice byli zamożni, ród stary, nawet Sienkiewicz pisał o jej przodkach w „Ogniem i mieczem”. Pamiętała dworek, owocowe sady, rzeczkę, piękne zimy i gorące lata, a później to, co oni zrobili, najpierw jak tylko przyszli w 1939 roku, to zastrzelili wiewiórkę Basię i bociana. Płakała wtedy bardzo. „Niczego nie sluczilos!”. To byli straszni ludzie.

Niemcom dworek też się spodobał i urządzili sobie w nim główną kwaterę. Herr major czasem grał na ich pianinie, a kiedy pewnego razu zobaczył utwory Chopina na pulpicie, powiedział podniesionym głosem:

– Proszę to schować! – i zapraszał jej mamę do gry na cztery ręce. Musieli uciekać. Pozostały tam teraz kamienie... Przyrządzam jajecznicę. Starsza pani zagląda przez uchylone drzwi do kuchni:

– Mieliliśmy taką służącą... Józia... Mówiła często do mnie, że aby dobrze zagotować jajka, należy włożyć je najpierw do naczynia z zimną wodą, a dopiero później odmówić trzy razy „Zdrowaśkę”. Zastrzelili ją. Razem z synem... bo służyli u polskich panów...

– Wyjeżdżam w swoje strony, pani Anno.

– Zazdroszczę panu.

Tym razem sam zatelefonowałem do niego:

– Przepraszam cię, ale chcę pojechać na dwa, trzy tygodnie do siebie. To dla mnie ważne...

– Obudziłeś mnie. Wróciłem o czwartej nad ranem. Musisz mi znaleźć kogoś takiego na swoje miejsce, kogo byłbym w stanie zaakceptować, a ty z nim podzielisz się forszą. Spływaj! Jesteś skreślony!

Co ja wyprawiam...

Któż by w to uwierzył

Zastałem ich u siebie. Mesalina była, Hiob i Machiavelli...
Cóż to za dziwna jakaś feta?

Pełno mrówek miałem na plecach, a oni popijali moją
rakiję i o miłości po imieniu sobie gawędzili.

„– Miłość to gehenna prawdziwa...” – ciągnęła swój
barwny wątek Mesalina. „Przeżycie ducha” – takie miłości
dał miano Niccolo, a Hiob miłośnikom, jak dotąd, nigdy nie
ufał...

Zapytali z nagłą, jakiego byłem w tej sprawie przekona-
nia, lecz z powodu mojego zakałapuśnięcia, machnęli ręką.
Poprosili o więcej okowity i o głos Joego Cockera z czarne-
go pudełka.

Kupiłem litr czystej i wróciłem do nich. Tym razem w po-
koiku coś wisało nisko w powietrzu...

Spierali się o to, co oznaczało wolnym być, zrozpaczo-
nym, dobrym, prawym albo złym i tak do późna każdy trwał
przy swoim aż Hiob oznajmił, że ludzie chciwi, zawistni są
z natury źli, a ich pragnienia nie znają żadnych przyzwoitych
granic.

Machiavelli wyznał, iż to były kiedyś jego słowa, lecz
bliższe jest mu od jakiegoś czasu spojrzenie Platona. Mesali-
nę zaś uderzyło, iż na ogół ciążenie ku Marii Dziewicy odczu-
wała dotąd...

Zapadła martwa cisza.

Wnet Hiob przemówił, iż zanim go spotkało to, co o nim
piszą, wiele razy grzeszył, a nie chciałby udawać już kogo-
kolwiek po te wszystkie wieki.

Tak najpierw powiedział, a potem wszyscy spojrzeli na
mnie z nieukrywanym żalem...

„– Czy wyście nie powariowali?!” – wykrzyczałem do
nich.

„– Bójcie się ludzi, co wam uwierzyli! Niech pozosta-
nie, jak było do tej pory i wróćcie, jeśli łaska, czym prędzej
do historii!”

Wypili. Wyszli. Rano zastałem w drzwiach kartkę.

„Litości! W historii wytrzymać już dłużej nie damy rady!
Jesteśmy ludźmi jedynie!

Hiob i cała reszta. Amen!”



Towarzyszący nam miejscowy dziennikarz wydobyl spod ziemi i śniegu ludzkie szczątki. Czekały tam po cichu. Podobno w tych stronach było to czymś zwyczajnym. Kołyma. Szare niebo, wzgórze, koledzy i ludzie z rewolwerami pod ubraniami. Szarość przeistaczała się w ciemność. Zaczęło znowu padać. Słyszałem, jak kierowca powiedział do jednego z tych ludzi, że zgubił drogę i jedyny sposób, by ją odnaleźć to przejechać przez rzeczkę. Kłopot polegał na tym, że nie wiedział, jaka jest jej głębokość. Dla dodania sobie animuszu każdy wypił po szklance wódki i w bryzgach wody i błota rozpędzone gaziki wydostały się po minucie z rzeczki na brzeg. Albo innym razem zepsuł się nam samochód i trzeba było wracać do Jercewa pieszo. Na szczęście więzień, który prowadził samochód, zdołał usunąć usterki, gdyż inaczej groziło nam czterdzieści kilometrów w mrozie i w śniegu ze sprzętem na plecach. A tak skończyło się na strachu i godzinie chodzenia przez tajgę. Ilekroć wyjeżdżałem z kolegami w tym kierunku świata, tyle razy nie wiedziałem, co się może wydarzyć. Po latach pozostają w pamięci ludzkie kości wystające z ziemi i krzyże przygięte w Workucie, odór resztek odkopywanych ciał pomordowanych i przerażająco wielkie brzozy nad Bajkałem. Lepianka z małym okienkiem pod Karagandą, gdzie do niedawna żyła starsza pani z Polski. Zapamiętałem pola i wzgórze Lenino. I popów – wielkoludów w czarnych sutannach z rękami kapiącymi od złota. Poznałem w Ermitażu szatniarkę, która okazała się hrabiną. Lubiłem słuchać śpiewów kobiet, dźwięku akordeonów. Lubiłem spontaniczność prostych ludzi.

Tak pomyślałem tylko sobie o tym wszystkim naraz, gdy usłyszałem w radiu wypowiedź pewnego krytyka, który podczas czytania książki o wspomnianym kraju doznał w ślad za autorem objawienia na widok mapy na ścianie sklepu w Moskwie, kształtującej umysł ludzki w określony sposób. Wciągające.

Ale kiedy próbuję teraz sam coś napisać o moich podróżach do Rosji, ogarnia mnie brak wiary w powodzenie zamysłu, bowiem co można jeszcze powiedzieć na ten temat. Szczególnie ja. Człowiek stworzony i wychowany gdzie indziej, który na ogół woli oglądać amerykańskie filmy, prowadzi swoje dziecko do McDonalda, ubiera w džinsy i który słuchając utworów Piazzolli czuje się rażniej, kiedy dochodzą słowa w języku rosyjskim niż w angielskim, jak to było przed chwilą na drugim piętrze w Best Mallu. Nic na to nie poradzę. Widzę za szybką gorące szarlotki w sosie waniliowym i lodami. A ja chcę sobie kupić szarlotkę na zimno, bez sosu i lodów. Nie dostaję. Na ścianie wiszą afisze filmowe. Czytam napisy pod tytułami: „Bez hamulców!” „Bez cenzury!” „Kulturę tworzą ci, którzy burzą reguły!” „To może poważnie zniszczyć twoje zdrowie!” „Będzie bolało!” „Nadchodzą czasy pogardy!”

Nie nadążam. Nie mam też zanadto ochoty. Tak jak na granicy. Wyjechałem z kolegami na zdjęcia do Nysy, a ponieważ zachciało nam się napić piwa, postanowiliśmy wpaść do sklepu, po stronie czeskiej. Nikt nie miał złotych wymienionych na korony, a zatrzymano tylko mnie. Sprawdzali najpierw przez pół godziny moje dokumenty.

– Dlaczego się uśmiechasz tak głupio? – zapytał na koniec czeski oficer.

– No bo ja... ja robię to bezmyślnie od kilkadziesiąt lat...

I w chwili takiej jak ta, kiedy pan pyta o imię i nazwisko, patrząc jednocześnie w paszport, wydaje się, że osobnik w nim i ja to wciąż jeszcze nie ten sam człowiek, jakim chcę być. Poza tym:

– Poproszę o zwrot paszportu. Odeszła mi ochota na Budweiser.

Oddał ochoczo. Z oddali kolega pomachał do mnie ręką. Za plecami niecierpliwili się ludzie. Zawracam. Tak będzie lepiej.

Od lat witały mnie na lotnisku w moim mieście, zapach morza i wiatr. Znaliśmy się od dawna. Wsiadałem do taksówki z walizką, a oni opowiadali mi o sobie, pytali, jak się czuję i rozmawiali ze mną długo i w pośpiechu o wszystkim. Stanowiliśmy dosyć osobliwe grono w tych okolicach. W pewnej chwili zaniepokojony kierowca często pytał:

– Pan chyba nietutejszy, co?

Kto pamięta mnie w tym mieście. Może tylko kilka starych uliczek, kilka domów, dwa zachwaszczone groby, plaża i ta butelka na szafce, tuż obok mojego łóżka...

Morze, upał i myśl o wyjeździe stąd, która powracała coraz częściej i stawała się coraz to bardziej smutna.

Wyjeżdżałem z ulgą, ale po kilku dniach tęskniłem za tym, co pozostawiłem i co było mi tak bliskie, a zarazem nieuchwytnie, złudne...

Poznałem ją przy kawie podczas jednego z tych dni, kiedy bywałem tam i jednocześnie tutaj. Powiedziała mi, jak bardzo lubi podróżować po świecie i wtedy zaprosiłem ją nad morze. Tam. Do siebie.

Wylądowaliśmy na lotnisku razem. Wiatr ucichł. Morze uspokoiło się, a taksówkarz zaniemówił.

Stare uliczki i domy stały się znów piękne. Plaża miała opaleniznę i zapach jej ciała, a śliwowica smakowała tak samo jak kiedyś.

Ona wsłuchiwała się w szum morza, krzyki mew, poświstywanie wiatru. Boso chodziła wszędzie i wiedziała, co czułem, o czym myślałem, kim byłem i kim być mogłem jeszcze.

Pewnego dnia popłynęliśmy na pobliską wyspę. Na wzgórzu stała świątynia z czasów rzymskich. Morze znalazło się daleko pod nami, a ona głaskała kamienne mury i posadzkę z tajemnymi znakami. Wdrapała się na okiennice i chłonęła wokół wszystko. Długo i chciwie. Zmęczeni znaleźliśmy się w knajpce nad brzegiem i zamówiliśmy, pamiętam, panierowane kraby i butelkę schłodzonego wina.

Podczas gdy dzień z nocą i chmurami się mieszał, zauważyłem, jak ona była coraz bardziej nieobecna. Spojrzałem na zegarek. Nasz statek za godzinę odpływał w stronę lądu. Oddaliła się na chwilę, ale nie było jej nazbyt długo. Ruszyłem uliczkami z nadzieją, że być może ją odnajdę. Byłem już na samym wzgórzu, wraz z chmurami i z deszczem.

Ujrzałem ją z daleka. Na środku świątyni tańczyła nago i boso w deszczu. Twarz i ręce miała podniesione wysoko i kołysała się w rytmie bębnow, błyskawic i grzmotów...

Słyszałem tętent końskich kopyt i krzyki nieznanymi umarłych. Tańczyła i słyszałem szepty, śmiechy tych, którzy pochowani dawno temu teraz powstawali z martwych. Tańczyła, tańczyła, aż zrobiło mi się ciemno w oczach.

Nagle przepadła bez śladu. Pobiegnę uliczkami w stronę statku, ale nie znalazłem jej nigdzie. Czekałem aż do ostatniej chwili i już późną nocą znów sam wracałem z wyspy do siebie.

Po trzech dniach zjawiła się, lecz nie zapytałem jej ani wtedy, ani kiedykolwiek o te osobliwe rzeczy, co się nam przydarzyły...



Interakcje ze słowną interpunkcją

Późny wieczór. Czy o tej porze wypadłoby mi do niej jeszcze telefonować...

Zadzwońnięm:

- Kochanie.
- Pomyłka.
- Przepraszam.
- Nie szkodzi.

Tak chciałem porozmawiać z nią tego wieczora.

I wówczas mój wzrok padł na słownik. Ogarnęła mnie ochota na przygodę ze słowną interpunkcją.

Ale jak z nią tutaj zacząć...

Najlepiej byłoby napisać na początku: „Gdyby”...

Gdyby, ale to już pisano tyle razy...

Gdyby, hmmm...

Gdyby, jak Pan Bóg przykazał, jednym słowem i na chybił trafił, nie mniej jednak, notabene, oczywiście i na tyle, i o ile, pod warunkiem, i że pomimo wszystko, potem...

Rany Boskie, owszem, rzecz jasna rzekomo, tak czy owak tfuj!

To też, tym bardziej, że zaiste z jednej strony, z drugiej wola Boska, niestety i na ostatek...

W przeciwnym bowiem razie rano obudził mnie mój własny tylko śmiech, wiadomo i cholera jasna, chciałbym się nareszcie wyspać.

A nuż do tego diabli komu i dla Boga...

Mrzonka

Jestem w norze, szarzej. Tuż obok, trochę na mnie leżąc, ktoś jeszcze i nie wiem kto. Może był to człowiek albo jakieś zwierzę. Wydostaję się. Spoglądam w dół gdzieś na zewnątrz. Wilk się wytoczył a nieopodal warowały liski. Całe mnóstwo. Rzędem. Patrzą w moją stronę.

Budzę się. Piję kawę, jestem pod prysznicem i w autobusie. W pracy podpytują mnie, co się z tobą dzieje. Wszyscy widzą. Ona jest w moich oczach, w herbacie i w fasolce. We mgle i pod oknami mojego syna. W łóżku, na przystanku, z hipnotyczną aktorką i pośród wtajemniczonych za te parę groszy.

Zagaduję ją. Ktoś się odwraca, odchodzę i wtenczas szepcze, jeśli by, ewentualnie i że nie mogła się wprost na mnie doczekać.

Tańczymy. Zgaszone światło i coś rozczulającego z radia. Zachowujemy się tak jakby otuchy żadnej nie widząc. Dla nas obojga i dla mnie pojedynczo. Chciałbym powiedzieć jej, że ona stała się moim losem, a ja przez to innym człowiekiem. Bezwrotnie i tak do późna.

Rano spacerujemy w ogrodzie za pałacem. Mało śniegu i bardzo mało ludzi. Stajemy przed posągami, patrząc na ich oblicza i sylwetki. Zapytała mnie, czy wiem, co to jest miłość. Zwlekałem z odpowiedzią, kiedy dał się usłyszeć komórkowy telefon. Pośpieszyła dokądś... Zostałem z jegomościem z kamienia i z maczugą, zanim zdążyłem coś mądrego jej odpowiedzieć. Tak dotąd nie potrafimy się odnaleźć. Od tamtej chwili w parku i w tych krótkich słowach...

Paliło słońce. Fale muskały brzeg, szwankował głośnik miejscowej radiofonizacji. Znużony podniosłem się i nagle ujrzałem tuż obok kobietę. Leżała na ręczniku w żółte kwiaty na niebieskim tle, brązowa mała plamka w okolicy pępka, długie nogi, seledynowy kostium, czytała „Teatr Stanisławskiego”. Twarzy nie widziałem. Była zasłonięta książką.

I co to znaczy? Taki może był mój sen... A potem odezwał się głos wewnętrzny:

– Dystans chłopcze! Zachowaj dystans wobec formy! – i umilkł. Tymczasem kobieta zdjęła biustonosz. Obejrzałem się: mój głos wewnętrzny, mała, brązowa plamka, długie nogi, seledynowy kostium i kobieta bez biustonosza. Psia kość i waham się, i waham się, aż wziął górę głos wewnętrzny, który okazał się głosem Gombrowicza. Szwankowało słońce i palił głośnik. Plaża wypełniła się po brzegi ludźmi i czuję się upokorzony, spiesząc do restauracji.

Zamawiam tarator z orzechami i czosnkiem. Kuchnia była taka sobie, ale przychodzę tutaj właśnie, ponieważ pracująca w niej kelnerka pisuje wiersze, które lubi recytować po zapłaceniu rachunku.

W mieszkaniu zaś słyszę, jak za ścianą sąsiad znów tłucze żonę. A na balkonie, piętro wyżej, sąsiadka szykuje posiłek i w pokoju pachnie przypieczoną papryką. Próbuje skupić się nad „Psychologią a alchemią” Gustava Junga.

Po co wspominać o tym? No bo oto w ten sposób przebiegają coraz częściej moje spotkania z krajem. Oj, trudne są te powroty. Niby sporo zmieniło się u mnie po tylu latach, a ja wciąż przeżywam swoje stare dzieje... Ale nie tylko. Zmysły. Tak. Moje zmysły jedynie tutaj potrafią się nacieszyć: morze, słońce i pozostawiam za sobą smużkę z ludzi, parasoli, kępy drzew, ciepło... I to uczucie, że jestem kimś obcym dla tych ludzi wokół.

Wieczorami idę do knajpy. Przed blokiem przesiadują na ławeczkach starsi ludzie. Jakaś staruszka poznaje mnie

i chce oddać pieniądze, które pożyczyła od moich rodziców. Nie, nie... nie trzeba. Dziękuję mi...

W knajpie rakija, sałatka i danie w sentymentalno-magnetofonowym sosie retro. Jest tu najczęściej pusto. Postawię komuś drinka... kopę lat... Poproszę jeszcze raz o to samo...

W bloku ciemnica. Otwieram po omacku drzwi i stoję na balkonie. Piękny wieczór. Patrzę na samochody, światła statków... W sąsiednim bloku kapela gra pajduszko horo i tańczę... To nic. Zaraz mi przejdzie...



Skończyłem studia i zgodnie z ówczesnie obowiązującymi w moim kraju przepisami musiałem tam wracać. W Ambasadzie odmówiono mi przedłużenia ważności dokumentów, a na prośby o życzliwszy stosunek w tej sprawie ze względu na rodzinę i brak możliwości wykonywania profesji w mieście, skąd pochodzę, odpowiadano zwykle, że jeśli żona i dziecko będą chciały mogą pojechać ze mną.

Któregoś dnia przyszła wiadomość z Wydziału Konsularnego. Miałem tam stawić się natychmiast. Z duszą na ramieniu i nieważnym paszportem wszedłem do gabinetu z portretami Żiwkowa i Lenina. Bez zbędnych ceregieli powiedziano mi, że z polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nadeszło oficjalne pismo, dotyczące sposobu, w jaki została potraktowana rodzina mojej żony, a ich obywatelki przez konsulat. Po namyśle człowiek w granatowym garniturze zaproponował mi posadę zastępcy dyrektora hotelu w pewnej miejscowości niedaleko od mojego miasta, pracę dla żony i mieszkanie. Zarobki miały być całkiem znośne, prowadzeniem hotelu zajmowałby się kto inny, natomiast ja powinienem był postarać się zaskarbić sobie sympatię gości. Zapytał też, jakie znam języki, a po mojej odpowiedzi zauważył szorstko, że muszę podciągnąć się w nauce niemieckiego. Będzie czekał na moją odpowiedź.

Nie odezwałem się. No i w ten sposób ominęło mnie to szczęście. Za to wkrótce potem żona poinformowała mnie dokąd mam pójść, żeby rozpocząć pracę. Im częściej myślałem o tym, tym bardziej wydaje się, że musiałem być niezłą oferumą...

Dziwna była ta Wytwórnia filmów. Na mój widok pan dyrektor kłaniał się w pas, a koledzy patrzyli bokiem. Naturalnie domyślałem się, że ktoś stoi za mną, i że to z pewnością nie moja żona. Zresztą od początku odnosiłem wrażenie, że tu za każdym stoi ktoś inny i że często ten ktoś jest ważniejszy od nas. No i te stajnie. To taka moja nazwa

montażowni, gdzie nie tylko montowano filmy, ale gdzie też spotykali się ze sobą koledzy o podobnym spojrzeniu na świat. Świat, który dla jednych był pieniądzem, dla drugich ideą, sposobem na życie. Dziś mogę powiedzieć, że to miejsce pracy jest jednym z najważniejszych w moim życiu. Tu uczyłem się myśleć, podziwiać ludzi, wśród których przyszło mi pracować, żyć, próbuję tu liczyć na samego siebie. I choć najczęściej moje wysiłki podporządkowane są czymś wyimaganiom, uczę się wnosić coś swojego w to, co robię. Poznałem kilku znakomitych kolegów, wspaniałych ludzi. Niedawno zaskoczyłem jednego z nich, pukając do drzwi pokoju w hotelu. Siedział za biurkiem i oglądał zdjęcia bohaterów filmów, które nakręcił dwadzieścia, pięćdziesiąt lat temu. Opowiadał o nich, jakby to byli jego najbliżsi przyjaciele. Nie ukrywał wzruszenia. Poczulem się intruzem...

Wczoraj spotkałem w studio innego kolegę. Przyszedł z bukietem róż. Stareńki, niepozorny, wielki duchem, patrzył na nas z wyrazem ledwie podtrzymywanego życia. Przytuliłem go. Odprowadziłem pod sam dom. Wokół nas zatrzymywały się samochody, autobusy. To mój nauczyciel. Pożegnaliśmy się.

Taka jakaś wyszła ta historyjka. Trochę śmieszna, trochę straszna, trochę może cliwi. Nie jestem pewien, czy opisywane w niej moje odczucia mają coś wspólnego ze sobą. Nie jestem pewien. Jeśli tak to tylko tego, że co w niej wzbudzało mój strach, staje się cliwie i śmieszne, a śmieszne i cliwie nie straszy... nie wiem.

Po przystąpieniu do pracy wyjechałem na zdjęcia do Związku Radzieckiego. Dostałem nowy paszport. Żona nie miała już ochoty opiekować się mną, pracuję w tym samym miejscu. Zarabiam mało. Czuję się dobrze.

– Musiałeś być niezłym bawidamkiem – streściła znajoma moje zapędy literackie, po tym jak dopatrzyła się niemal w każdym tekście obecności kobiet. Nie wpadłbym na to. Przysięgam. A ponieważ rozmowa przedłużała się, zmieniłem temat, pytając dlaczego chodzi ubrana zawsze w spodnie. Albo ja popełniłem jakiś nietakt swoim pytaniem, albo też ona potraktowała je może zbyt dosłownie, ale kiedy spotkałem ją po kilku dniach była ubrana w suknię. Co się stało? Zaciągnęła mnie na bok i od niechcenia podniosła kreację odsłaniając piękne nogi z profilu i en face.

– Żeby nie było już więcej niedomówień.

Zamilkłem. No i od tego dnia zaczęło nas coś łączyć. To nielogiczne – myślę – zwariowałem. I nagle, nie, nie mogę, zapraszam ją na drinka.

– Czy dobrze się czujesz? – spytała.

– Doskonale.

Zamyśliła się. Po chwili opowiadała mi już jedną z najdziwniejszych historyjek, jakie słyszałem ostatnio. To nie był romans. Nie. Poznała chłopaka. Silny, rostry. Razem studiowali na uczelni. A kiedy nikogo u niej nie było, zapraszała go do siebie. Jej ojciec mieszkał gdzieś indziej. Prosiła kolegę jedynie, aby ją kąpał w wannie. Nic więcej. Czuła jego spojrzenie na piersiach, na udach... Biedny był ten jej chłopak. Do dziś nie wiedziała, jak to wytłumaczyć.

Teraz ja się zamyśliłem. Dlaczego właśnie mnie opowiedziała swoją historyjkę. Chorobliwa fantazja, czy też pragnienie odnalezienia ojca w koledze. Jak się zachować.

Wychodząc podaje mi rękę. Dziecinna, krucha.

– Tyko się nie wąż powiedzieć komukolwiek o tym, co słyszałeś. Inaczej wszyscy dowiedzą się, jaki jesteś naprawdę.

Widocznie musiałem ponieść konsekwencje swojej ciekawości. A zresztą, co mogłaby wiedzieć o mnie, czego sam nie znam. Może z wyjątkiem tego „bawidamka”.

Kobiety z moich opowiadań... Wciąż jestem w nich zakochany. Spotykam je nieraz. Niekiedy nawet przeszkadzają mi w tym, co robię. Są ze mną przez cały czas. Stają się przebiegle natarczywe. Wtedy przybierają postacie przedmiotów, dźwięków. Jeszcze słyszę skrzypienie krzesła na poddaszu. Tam spotykaliśmy się zawsze zdyszani, niecierpliwi. Ciemno. Nagle widzę światło latarki. Zbliża się. Leżymy przestraszeni na fortepianie. Struny jęczą. Odeszło światło. Chowamy się pod fortepianem. Nad nami głosy dorosłych. Dotykam jej piersi. „Uaaaaau!” – dochodzi śpiew ulubionego tenora mamy. Wkładam rękę pod jej spódniczkę. Tam nic nie ma. Coraz wyżej i wyżej. Chichocze. Nie przy ludziach. Nie poskarżysz się na mnie? Więcej nie będę. Moja ręka znów robi się nieposłuszna.

– Zeszczuplałam. Prawda? Wiesz co? Chyba jednak jesteś normalny. Już mam autobus. Pa.

Zamykają się drzwi. Jeszcze jedna stracona przyjaźń.



Była popołudniowa pora i opustoszałe moje miasto. Płatałem się po ulicy, rozważając w myślach, czy aby nie zacząć raz jeszcze wszystkiego od nowa w moim życiu, gnębił mnie niepokój, upał i zapchany nos. O tej godzinie i w pełni sierpniowego lata, ludzie przebywali najchętniej na plaży, w cieniu, pod dachem, mnie zaś zaniósł do starego domu. Za nim krył się ni to sad, ni to podwórko, kilka jabłoni, paproci mnóstwo, roznosił się zapach wilgotnej w zaroślach ziemi. Bawiłem się w dzieciństwie w tym miejscu...

Dom stał, zrujnowany, pusty. Wyłamane były drzwi, niebieski, drewniany sufit. Na suficie żółte gwiazdki... gdy zaszurgotało nagle, kot może albo szczury, i zawróciłem na podwórko zbity z pantafyku.

Odnalazłem ulubiony zaułek... Tuż przed popękany murem, a pod uschniętą dzisiaj jabłonią. Zaszływałem się tutaj na czas zabawy w atomową wojnę i nieulekłych żołnierzy. Od dnia, w którym dowiedziano się, że mój ojciec, dziadkowie i ja byliśmy wrogami ludu, sam prowadziłem wojnę z kolegami z naprzeciwka. Tymczasem nie wiedziałem, czy do tego ludu można było należeć i postanowiłem cicho siedzieć pod jabłonią. Ale stracha miałem nawet w domu.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, uczyłem się nie najgorzej. Nikogo nie mogłem zawieść. Patrząc w lustro, nieraz myślałem, że naprawdę jestem niesympatyczny. Miałem za dużo krost i krzywe, krótkie nogi. Cienkie, długie ręce i za dużą głowę, o której słyszałem, że sprawiła mamie podczas porodu cierpienie i było chyba oczywiste, że i poczucie winy nie opuszczało mnie. Stałem się samotnikiem.

Co to? Ktoś krzychał do mnie z wysokiego balkonu naprzeciwko. Chcę uciec, nie potrafię. Dokąd, nie wiem.

Stary dom, podwórko i w zaroślach ja. Po uszy. Upał.

Odkryłem to miejsce jesienią, dawne dzieje. W ogrodzie: pomniki, rzeźby, słoneczny zegar, nieopodal grób, triumfalny hotel i plac, słyszałem bicie dzwonów i wojskowe marsze. Na ścianach okolicznych domów ślady po szrapnelach.

Stałem w tym samym miejscu dobre kilka lat później ogłuszony hukiem fajerwerków. Zapamiętałem postać starszego człowieka ubranego w mundur. Ledwie się trzymał na nogach, maszerując w rytmie trąb i werbli. W przerwach kanonady ogni sztucznych przebiegały się oklaski gapiów.

Miałem osiemnaście lat, skończyłem liceum. Na świecie mówiło się o Kubie i o Karaibach. Jesień sześćdziesiątego drugiego roku. Powołano mnie do wojska. Ostrzyżono, dano mundur i posypano proszkiem. W pomieszczeniu, gdzie spaliśmy, były na noc zawieszane w oknach koce. Miały nas chronić przed samolotami przeciwnika. W dzień uczono celnie strzelać i kopać szanice. Któregoś wieczora podczas dyżuru napaliłem w piecu. Goniłem resztkami sił. Ocułił mnie kolega. Leżałem na trawie przed posterunkiem na wpół zatruty czadem. Nad głową żołnierze z sąsiedniej jednostki wystrzeliwali rakiety świetlne i wjechali samochodami na nasz teren, pozorując natarcie. Musiałem się tłumaczyć...

Pozostał mi uraz do sztucznych ogni i do orkiestr dętych, choćby one grały na jakimkolwiek placu i w dowolnym kraju...

Młodzi ludzie trzymali w rękach biało-czerwone flagi. Śladów po szrapnelach nie było widać, a na postumentach Jowisz, Chwała, Prawda, Historia i reszta, były ubrane w stare szaty, tylko w innym odcieniu.

Wracając spojrzałem na wystawę z książkami. Wyeksponowano „Moc przyciągania pieniądza”. Nie kupiłem. Idę bez celu. Bez oczekiwań.

Poznałem ją u przyjaciół.

Przyleciała samolotem z Bostonu do Warszawy, a przysłała na świat w Moskwie. Jej przodkowie natomiast pochodzili z Radomia, jej ojciec brał udział w Październikowej Rewolucji, walczył z Denikinem, był ranny i przeżył. W trzydziestym siódmym został aresztowany pod zarzutem, że razem z innymi Polakami kopał tunel pod Kremlem i w ten sposób zdradził Rewolucję. Przepadł w więzieniu.

Po jakimś czasie przyszedł do nich recydywista. Mówił, że podczas mrozów oblewali ojca wodą, i że pewnego dnia padł na więziennym dziedzińcu i już się z ziemi nie podniósł...

Miała czternaście lat. Wyrzucili ze szkoły. Wojna. A chciała się uczyć. Mówiła, że jej ojciec zginął we frontowych potyczkach i tym sposobem udało jej się najpierw skończyć liceum, a po wojnie studia. Była z zawodu architektem.

Dostała mieszkanie. Cztery kwadratowe metry. Pracowała, wychowywała syna i ani słowa o mężu. W pięćdziesiątym siódmym zrehabilitowano jej ojca. Powiadomili ją, że rodzinie należą się ostatnie dwie jego pensje. Nie odebrała ich i w dziewięćdziesiątym pierwszym roku wyjechała do Bostonu ze swoim synem, jego rodziną i jedną małą walizką. Na lotnisku zwrócili uwagę na jej srebrne sztucce. Myślała, że już wszystko przepadło i zrobiło jej się niedobrze.

W Bostonie czekały telewizyjne kamery, a potem odwieziono ich do nowego mieszkania. Było w nim wszystko: ręczniki, pełna lodówka, pościel, dano im też kieszonkowe. Później przez trzy miesiące rozmawiali z synem o polityce, podejmowali synową w koktajlbarach, a jej wciąż pokazywali piękne cmentarze. Dostała rentę, osobne mieszkanie, syn pracę w fabryczce proszków do prania. Stał przy taśmie i wkładał do kartonów tyżeczki z plastiku. W Moskwie był dyplomowanym matematykiem i wykładał na uniwer-

sytecie. Wieczorami w Bostonie grał na gitarze i śpiewał ballady Okudźawy, Wysockiego i mimo wszystko tęsknił za Rosją. Natomiast jej podobało się w Bostonie. Otrzymywała pięćset dolarów miesięcznie, a poza tym tam w Stanach wynaleźli zastrzyki, dzięki którym można by było bezboleśnie umrzeć. Kochała Polskę, Polaków i chciała zapomnieć o Rosji.

Całe życie pragnęła śpiewać i mieć jedwabiste włosy, tymczasem grała na fortepianie, malowała kwiaty i pejzaże. Była niskiego wzrostu i nad szklanką z herbatą napotykałem na jej łekliwe spojrzenie. Starsza pani przycichła, być może myślami nieobecna, gdzieś między Warszawą, Moskwą a Bostonem.

A ja znam ten byt pani duszy, pani Heleno i lęk w Pani oczach jest mi bliski, wzrusza mnie. Tak sobie pomyślałem tylko...

„– Czy możemy już ten temat zmienić?”

To gospodarze. Odśpiewaliśmy wszyscy razem sto lat pani Helenie i życzyliśmy jej zdrowia i szczęśliwej drogi.

Takie było to nasze spotkanie. Trochę zwierzeń, smutków i niewypowiedzianych pytań...



Wygląda na to, że już nie boję się podróżować samolotem. Nic nadzwyczajnego w tym nie ma, ale przychodzi na myśl zdarzenie, które związane jest z moją mamą. Pamiętam po dziś dzień, jak siedziała na kozetce, a nasz osiemnastopiętrowy budynek kołysał się razem z martwą naturą i żyrandolem. Nie zdążyłem włożyć ubrania i przewróciłem się na podłodze w kuchni:

– Musisz, synku, stanąć pod sklepieniem którychś z tych drzwi, tam jest najbezpieczniej. Jeśli ci już tak na tym zależy...

Nie stanąłem. Tylko co tchu pobiegłem schodami na dół. Mama nie chciała pójść ze mną.

A więc lecę sobie. Mam 250 dolarów i torbę ciuchów. Na lotnisku w Sofii aż dym unosi się od kurzu, huczą pneumatyczne młoty, jakieś dziecko śni w rytmie dyskotekowej melodii. Po ośmiu godzinach wyczekiwania na kolejny samolot i po godzinie nim lotu, nareszcie jestem w Burgas. Na postoju czekał znajomy taksówkarz:

– Czy pan tu do nas na długo? No bo wie pan, tutaj to już mało kto chce jeszcze przyjeżdżać. Same tylko puste pociągi, puste samoloty, pożary, bezrobocie, głód... Męczarnia. A na dodatek od pół roku nie padła ani jedna kropla deszczu.

– Urodziłem się w tym mieście, ale w nim nie mieszkam od dawna. Chociaż mam tu niedaleko stąd, na tej uliczce, swoje własne cztery kąty. Dziękuję. Ile jestem winien...

Cóż, to śmieszne, ale niepokoi mnie uczucie, że oto za chwilę, jak tylko przekroczę próg mieszkania, przestanę istnieć... Przedtem zobaczę jeszcze raz morze. I siedzę kamieniem w pobliskiej knajpie.

Przez trzy dni czułem ucisk krwi w moich żyłach. Nieuregulowane rachunki, remonty, porządki, nie wiedziałem, co robić z mieszkaniem po swoim wyjeździe stąd: zostawić puste, czy też komuś dać klucze do niego. A wydawało mi się,

że spotkałaby je krzywda, jeśliby w nim nikt nie mieszkał. Aż tu któregoś dnia przypadła mi do gustu para zakochanych chemików poszukujących dachu nad głową.

I tak to właśnie upływał czas moich wakacji. Poszedłem też kilka razy do kina, na głównej ulicy tańczyła mała z niedźwiedziem jak za dawnych lat, a pewien człowiek z bloku nienawidził mnie bez powodu. Ponadto porozdawałem ludziom wszystkie rzeczy należące do moich rodziców.

W dniu odlotu poszedłem na plażę. W nocy morze powyszciało brzeg wodorostami i po piasku, po ręczniku i po nogach łażą biedronki. Nie widziałem ich nigdy przedtem aż tak wielu naraz. Nie śmiem poruszyć się, żeby ich nie spłoszyć... łaskoczą. Tuż obok biegnie jakieś dziecko i obsypuje mnie piaskiem, nie złoścąc się na nie... Wchodzę do wody i stoję w niej zanurzony po kolana. Wokół bawią się dzieci. Nikt już mnie nie poszukuje... nie mam nikogo, kto by się chciał ująć za mną...

Po drodze do mieszkania zatrzymuję się przed tablicą z ogłoszeniami o śmierci i o pogrzebach. Wypatruję na niej imion, nazwisk. Tyle twarzy ... Wyblakłe na słońcu litery.

Kupuję kwiaty nieopodal. Rozkładam je w wazonie i na kartce, co za głupi pomysł, wypisuję do moich chemików: „Bądźcie szczęśliwi. Jeśli chodzi o mnie, to ja już się nie boję, kiedy podróżuję samolotem”.

Na zewnątrz czekał znajomy taksówkarz.

– Słucha mnie pan? Jesteśmy na miejscu...

Jeszcze jedno wspomnienie

Owej zimy złapał mróz tak bardzo wielki, że nawet morze schowało się w zatoce pod bryłami lodu, a dziadkowie, ciotka, tato, mama i ja, spaliśmy wszyscy razem w jednym pokoju. Nocą co chwila mój dziadek dorzucał drewno do pieca i słyszałem też, jak wiatr dotykał szyby płatkami śniegu. Dom był stary i na samą myśl o drewnianych schodach, które prowadziły na poddasze, gdzie krążył wiatr, a gdzie można było się umyć albo iść za potrzebą robiło mi się coraz zimniej i nie chciałem podnieść się z łóżka.

Po śniadaniu, tato zabierał mnie do parku nad sam brzeg morza i tam bawiliśmy się między drzewami w nawianym śniegu. W domu czekał na nas pełen garnek z fasolką, a dziadkowi udawało się odnaleźć butelkę czerwonego wina, po czym upijał się na smutno i zaczynał płakać, opowiadając nam o nieżyjących towarzyszach z czasów wojen. Babcia tego nie znosiła i chowała przed nim butelki z winem i z rakiją, przysięgając sobie głośno, że przestanie już gotować i troszczyć się o niego. Dziadek się tym zanadto nie przejmował i robił dalej swoje.

W tym samym czasie, mój tato pracował w porcie, ale podczas mrozów chodził często bez pracy i ciągle słuchał radia. Głos w odbiorniku był niewyraźny i pewnie dlatego tato przystawiał do niego ucho coraz bliżej.

Któregoś dnia zorientowałem się, że ciotka chyba zaszła w ciążę i wtedy mój przyszły wujek zaczął uczyć mnie pisania liter, ale ważniejsze było to, że mama wszystkiego już miała dosyć i wolała wrócić do Sofii.

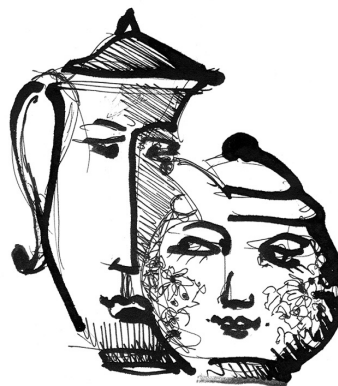
Na autobusowym przystanku zawieja. Ciągnie mnie do „mojego” sklepiku, po tamtej stronie ulicy. Wchodzę do środka i przeproszam obie dziewczyny, mówiąc im, że ja tak tylko wpadłem na chwilkę, popatrzę ale niczego nie kupię. Uśmiechają się do mnie... Lubię tu przychodzić.

Okrągły, dębowy stół nakryty obrusem, srebra, porcelanowe filiżanki... nieopodal stoi kredens podobny do tego,

jaki był w dużym pokoju... świeczniki... na ścianach wiszą malowidła... i tracę poczucie czasu.

Skusiły mnie dwa małe metalowe dzbanki. Chcę postawić je na półce w kuchni. Starsza pani, żartując ostrzega mnie, że musi rozejrzeć się za innym sublokaterem, gdyż kupuję zapewne mieszkanie.

Leżą w szufladzie. Dwa małe dzbanki i to wspomnienie.



Poznał nas zbieg okoliczności przed biblioteką. Szczupłe rysy twarzy, czarny golf, czarne palto z podniesionym kołnierzem, koczek. Pojechała do miasta naszym samochodem, a studiowała sztuki piękne. W teczce widziałem rysunki: same porozbijane dzbany, stojące, przewrócone, w środku wszystkie puste, jakby były pozbawione duszy. Pisała pracę o raju utraconym. Gestykulując dotykała lekko mojego kolana, nie szło bowiem z tym jej magisterskim pisaniem. Zapytała mnie zaciekawiona, czym się zajmuję i wtenczas odpowiedziałem jej kilkoma ze swoich napisanych rzeczy. Słuchając w pewnej chwili przymrużyła oczy, uchwyciła moją rękę. Powiedziała mi, że jest nieomalże jak zaczarowana, ale już wie, co i jak napisać. Chciała wysiąść, poprosiła tylko o mój telefon. Niepotrzebnie... i ucałowała mnie na oczach kolegów. Zażartowałem, że byłem dla niej jak żywa książka, a ona na to: – Raj był tu na ziemi. I nazwała go poezją.

Nie zapamiętałem nawet jej imienia. Na pytanie kolegów o telefon odpowiedziałem, że nie zabiegałem o niego, a oni nie mogli mi uwierzyć.



Leżę w łóżku, lub na polanie i nic mnie nie cieszy. Słońce mam w Koziorożcu, obok Księgę Stworzenia i trochę kontempluję, trochę drzemię, kiedy coś się dzieje ze mną zaczyna i dookoła.

Na podłodze, suficie, w wannie i na oceanie widzę liczbę, pismo, słowo z Księgi Stworzenia. Ta trójca burzy mój spokój, ja się nie liczę, jeszcze chwila i tonę. Krzyczę i podnoszę się. Wychodzę na spacer, idę ulicą, tu i tam zasięgam informacji. Czy jest to poezja, albo któreś do niej na własnych nogach i czy daleko mi jeszcze.

Idę incognito. Słowo, liczba w paprochach, pismo w koszach na śmieci. Napis: „Poezji dziś nikt już nie czyta. Należy prozę pisać i najlepiej powieść.”

Znów tonę, wracam do siebie, boję się spocząć. Patrzę. Słowa piękne, gładkie, słowa jak monety. Monety jak liczby, liczby jak zaświaty. Zaświaty w komputerach, komputery w pościeli, pościel zamiast uczucia, uczucia na papierze.

Liczę po ciemku, po ciemku i bez słowa. Słowa jak modlitwa, modlitwa do Boga. Daruj! I dziękuję, że jestem jak nigdy. Jak nigdy dotąd, a mnie sen morzy. Zasypiam i chcę krzyczeć.

Jestem, znów jestem...

Ulica, zgiefk, sobota. Wchodzę do księgarni a potem do drugiej i do trzeciej. Przeróżne książki. Czytam już coraz mniej. Krucho jest u mnie z pieniędzmi i muszę żyć oszczędnie.

Ulica. Poruszam się powoli, spojrzenia. Długie, ciche, przypadkowe. Pożywiam się pierogami w barze i popijam wodnistym kompotem. Jeszcze było na to za wcześnie, żeby wracać do pokoju i idę, gdzie mnie oczy poniosą. Wpadam do kina, kupuję bilet, myślę o wszystkim, tylko nie o filmie. Wychodzę.

Ulica. Starszy człowiek z tulipanami w zeszywniałej ręce, zapadał zmrok. Z bram powychodzili jacyś dziwni ludzie. Widzę jak chłopak maluje swoje usta szminką, inny żebrze o pieniądze. Dalej stoi kilku plecami opartych o ścianę, z utkwionym gdzieś przed siebie wzrokiem. Czuję niepokój. Zastanawiam się, jak ci chłopcy mnie postrzegają. Wzdrygam się na samą myśl, że nie wypadam w ich oczach najlepiej, wyjmuję parę groszy i ustępuję z drogi młodszym ludziom. Mam inny owal twarzy, inną cerę, i nie mam niebieskich oczu. Kupiłem buty, które są dla mnie za drogie i to aż nadto.

Muszę się ruszać. Dochodzę do przystanku, przyjeżdża autobus, wsiadam do niego ostatni.

Wchodzę do pokoju, a na łóżku śpi kot. Złości się, kiedy włączam światło i chcę się położyć obok niego. Podczas mojej nieobecności w pokoju kot uznał moje łóżko za swoje terytorium. Posunął się chyba za daleko. Zasypiamy jednak w zgodzie, przynajmniej w moim mniemaniu.

Sztokholm i Konzerthussen, król z królową, aplodysmenty i fanfary, Mozart, lecz zanim do tego doszło, raptem okazało się, iż w moim paszporcie nie było Rzeczypospolitej i Polskiej.

Ich bin ein Polsko-Bułgarische Mensch. Chyba coś zrozumieli i udało się. Wypuścili stąd, wpuścili tam. Nieważne. Dziś Nobel dla Szymborskiej, polskiej Wisławy, i choć meinen Damen i meinen Herr mam wypożyczony smoking i znośzone buty, Ona była i moją ulubioną, tut mir leid i so weiter, a może nie...

Jak ciężki był ten magnetofon i ten wielki od kamery statyw, lecz zanim do tego doszło, dekolty były, fajki i perfumy, a poza tym pan i władca wszechobecny wieczoru Jego Wysokość Pieniądz Niedosiężny.

Uległa mu i potem cierpiała, lecz zanim do tego doszło, królewski uścisk dłoni, Mozart i moje łzy dla Niej.

Spotkałem trochę później Jej spojrzenie przed ambasadą.

Co Pani zobaczyła wtedy, Pani Wisławo, w moich oczach, że po powrocie do Warszawy, pewien mój kolega powiedział mi, że nasze oczy sprawiły na nim tak wielkie wrażenie, że najmniejszych już wątpliwości nie miał, co do Pani i co do mojego pochodzenia...

Byłem wtedy i tam tylko specyficznie.

Noc sylwestrowa

Już zasypiałem, kiedy obudziły mnie petardy i wystrzały. Po chwili wróciła do domu przestraszona kotka, wstałem, wypilem sto, dwieście gram i wtenczas, nie wiadomo skąd, doleciała melodia „La comparsity”.

W upojnym rytmie tego tanga, mój ojciec poderwał moją mamę. Chciałem zachować się podobnie, kiedy poznałem przyszlą żonę, lecz ona wolała sama tańczyć poloneza, aniżeli, ramię w ramię, to wytworne tango ze mną.

Hola, hola! Co się dzieje?! Gdzie ja byłem?!

Przyszli moi Rodzice, żona wydekoltowana w towarzystwie dwóch moich synów, kuternoga we fraku, Elena, Święty Mikołaj zjawił się w mycce na głowie i w długich pejsach...

Nieopodal widziałem Freuda, jak bez urazów rozmawiał z Jungiem, znamienity Izaak Singer też tu był z Mojżeszem i z naszym Chrystusem.

Stawili się dwaj skomercjalizowani reżyserzy, piękna, tajemnicza pani i jeden pan z telefonem komórkowym.

Hucznie było, ciasno, gwarno. Częstowano ukraińskim barszczem, karpim po żydowsku i staropolskim bigosem. Raczone nas francuskim szampanem, kawą po turecku i czterdziestotrzyprocentową szkocką.

„La comparsita” brzmiała ostro w synkopach i w skrzypcach.

Ktoś powiedział głośno, że aby dostąpić zbawienia, należało pozbyć się w życiu pychy i niewiedzy. Chyba to był Budda, ale skądże znowu, jego nie było, nie zaprosili do stołu. Był Chrystus i Mojżesz. Otóż: mógł to powiedzieć, któryś z nich, wtórując czyjejs wcześniej wyrażonej myśli.

Za to Freud, z właściwą sobie kindersztubą, częstował wszystkich „przyjemnością” z domieszką kokainy. Jung zafascynowany piękną, tajemniczą panią szeptał do jej ucha, że w tym miejscu i wśród tylu ludzi wyrazić nie umie, jakie sny dręczyły go ubiegłej nocy i co dzieje się teraz w jego duszy,

kiedy Singer do siebie mówi, że byłoby lepiej, aby Mojżesz tu nie przychodził, niech on gdzieś sobie uczy, ale niech z wyglądem swoim się tu nie obnosi. Singer chyba Mojżeszowi zazdrościł urody.

– Byłeś mężczyzną mojego życia – wymruczała do mnie jakaś pani i od razu głos kuternogi usłyszałem, który nagle spotęźniał i na wszystkie strony świata się roznosił:

– Ruhe! I' m best! Moi dobrzy ludzie!

Czy był sens, aby z nimi tu dłużej przebywać? – pomyślałem i chciałem już wyjść, kiedy coś mnie tknęło: – Psia krew, że ja wraz z nimi u Abrahama, po kryjomu, byłem w łonie żywy, a co gorsza, zdany na swoje własne siły.

Szkocka się skończyła, wyjść stamtąd już było niemożliwe, a „La comparsita” na trzy czwarte brzmiała bardzo dziwnie...



Ktoś nazwał wierszykami to, co piszę, i że żarciki robię sobie z postaci należących do historii i z tego, co było nam dane a priori, a nie należało stricte do mojego życia, że rzecz dotyczy raczej filozofii, że zmusza do myślenia i że powinienem pisać prościej.

Próbowałem się bronić. Mogłem to zrobić nieudolnie, nie przeczę, jako że uczę się od niedawna samodzielnie myśleć. Z tym moim myśleniem był jeszcze jeden kłopot, a mianowicie chodziło o stylistykę. Zwykle staram się pisać, podążając za myślami, a okazało się, że muszę myśleć, jak piszę.

Zacząłem od przeprosin. Przeprosiłem tę osobę po raz pierwszy, drugi i trzeci, mówiąc jej jednocześnie, że jeżeli mi nie wybaczy, będzie to już tylko jej wina i że przeczytałem to u Levinasa kiedyś. Odrzekła na to, że zbytnio lubię się popisywać, i że nie wiedziała o czym mówię...

A może ja to wymyśliłem wszystko... nie w tym jednak rzecz. Miałem przyjaciela, już nie żyje, świeć Panie nad Jego duszą. Śnił mi się ubiegłej nocy, jak drzwi zamykał przede mną.

Chwilami ogarnia mnie nieprzeparta chęć, aby gdzieś pobyć wśród ludzi. Zamawiam sobie kawę, dziewczyna z chłopakiem przestają rozmawiać... wypijam w pośpiechu i spaceruję w parku aleją. Zza drzew wychodzi wprost na mnie panna młoda z bukietem kwiatów. Ciągłe mam to przed oczyma, jak przyszła mi się pokazać wtedy... w tej swojej ślubnej sukni z białego jedwabiu... Tam gdzieśmy się spotykali. Udało jej się umknąć z weselnej uczty i usiadła obok na ławce. Tak tylko na chwilę...

Muszę stanąć... Widzę za panną młodą kamerę...

„– Jesteś debilem...”

Mówi do mnie w pracy reżyser, potem przeprosza. Wyjeżdżamy na zdjęcia. Setki godzin spędzonych w samochodzie, posiłki w barach, noce w hotelikach, szklanka z herbatą w towarzystwie recepcjonistki, bezsenność...

Traktuję siebie podejrzliwie, to oczywiste, i nie udzielam przyzwolenia, żeby być kimś innym na co dzień, innym znów kiedy piszę. To mnie przerasta, nie potrafię, można rzec, wciąż któremuś z nich muszę czynić ustępstwa, irytuje ta ich poufałość.

Wokół inni traktują mnie w ten sam sposób. Tak mi się przynajmniej wydaje i te moje powroty nocą, ukradkiem, jakbym chciał się rozpuścić, a jednak pies sąsiadów mnie wyczuł, skrzypią drzwi, do pokoju wchodzę po ciemku, nie obuty...

Pranie od kilku dni wisiądo na deszczu.



Pewnego dnia coś przemówiło we mnie, żeby stać się innym niż byłem do tej pory, choć w gruncie rzeczy poniewczasie. Wertując różne książki, przekonywałem się, co gdzie się znajdowało, a najtwardszym do zgryzienia orzechem okazał się być całokształt naszego istnienia.

Bogowie, ludzie, grzech pierworodny, śmierć. Niepokalane poczęcie, zmartwychwstanie. Zaiste osobliwe postacie, pojęcia, wydarzenia. Próbowałem się jakoś odnaleźć w nich, czasem wierząc, czasem chcąc zrozumieć, po czym natychmiast gubiłem się w rozmyślaniach. O rany...

Było mi dane pojechać do Lichenia, do Drohiczyzna, z powrotem do Warszawy, a potem do Krakowa i do Wadowic. Stodoły, domy, ulice całe w białych kolorach i w żółtych. Rzeka ludzi. Chłód, gorąc, a coś mnie podnosiło na duchu i było mi bliskie. W strugach deszczu na podwyższeniu: „Spowiadam się Bogu Wszchemogącemu...” i ta pieśń, co chwyta za gardło, porywa, „Nie damy ziemi, skąd nasz ród...” Koledzy znali genezę tej pieśni, ja byłem nią wzruszony. Dziesięć metrów nad tym morzem jedności...

Znalazłem się o zmierzchu na placu Trzech Krzyży w Warszawie. Przez chwilę miałem takie odczucie, jakbym się oderwał od tego, co mnie otaczało i patrzyłem z niepokojem... Za kuloodporną szybą pomachała postać odziana w biel. Wiedziałem, że to był Papież, lecz nie widziałem nawet Jego oblicza. Światła, sygnały, poubierani ludzie w czarnych garniturach i w szybko przejeżdżających samochodach. Ktoś krzyknął, że chciałby się napić piwa. Że wszyscy mają wziąć się do roboty i że dość ma wiwatów. Innemu przeszkadzały krzyże. Nie te na placu, a ten w Oświęcimiu. Pod Drohiczyznem spotkałem parę osób, które nie przyznawały się do prawosławia. Inni wołali: „Kochamy Cię, Ojciec Święty!”. Na podwyższeniu w Warszawie zapytałem dziennikarkę obok, czy Podniesienie jest po homilii, czy też przed Aniołem Pańskim. Odpowiedziała mi: dlaczegóż to ja nie chodzę

do kościoła i usiadła gdzie indziej. Próbowałem usprawiedliwiać się. Było po homilii.

Były i złote kielichy, różańce w perłach, gigantyczne ołtarze, świątynia i mówiono o ubogich i o słabych. Byłem też w tłumie pod Biskupim Pałacem. Papież rozchorował się. Ludzie płakali, modlili się, śpiewali. Uświadomiłem sobie samotność człowieka w bieli, a On bodajże się żegnał ze swoim rodzinnym miastem i swoim ludem. „Ojciec, jesteś u siebie...”

Następnego dnia, obudziłem się w pokoiku i włączyłem radio. Z Kosowa uciekali tym razem Serbowie, wracali Albańczycy. Belgowie tuczyli indyki i kurczaki paszą z dioksyną, strajkowały pielęgniarki, górnicy, tworzone nowe partie o przeszłym rodowodzie, Ojciec Święty zaprosił Prezydenta z żoną do papamobile a przed i po tych informacyjnych rewelacjach, „A kto z nami nie wypije...” zaśpiewała Kayah.

Irytujące figury narracyjne... Tak czy owak, wołę czytać psychologię głębi i mity.

Dowiedziałem się na przykład, że Ares przebywał na obczyźnie, a później kiedy powrócił do domu już jako mężczyzna, chciał nawiązać ze swoją matką stosunek... Tymczasem na wyspie Samos, Zeus wszedł w bliższe stosunki z Herą, lecz nim to się stało, Hera odzyskała przez codzienną kąpiel niewinność...

Drapię się za uchem i nie dbam o intrygę, choć z drugiej strony czuję, jak bierze mnie przynębienie, i że dreczę w miejscu. I te sny, w których wciąż nie mam zbyt wiele czasu, a nie lubię bądź co bądź spóźniać się. No, ale co tu dużo gadać. Siła wyższa. Wydaje mi się wszystko rozumiać zatem i... jakkolwiekby to nie było...

Na uliczce, gdzie mieszkam, było już kilka włamań i kradzieży. Policjanci przyszli i pytali dookoła, czy ktoś czegoś podejrzanego nie usłyszał albo nie widział. Do mnie nikt jakoś nie przyszedł, ale czuję się tak, jakbym w tych włamaniach brał udział. Starsza pani, u której wynajmuję pokój, powiedziała, że i tak jeśliby stało się cokolwiek z jej domem będę odpowiadał za to ja sam. A więc co wieczór, nim się udam do łóżka, sprawdzam zasuwy, kraty i przypominam sobie różne numery telefoniczne. Kilka dni temu na przykład jakiś kot zaplątał się w okiennych kratkach i na palcach, z lartarką w ręku, zakradałem się, idąc schodami na dół.

– Wynocha!

Nie lubię także, kiedy ktoś idzie tuż za mną ulicą, a raz w kinie musiałem się przesiadać, ponieważ jakiś gość stanął za moim krzesłem. Przed chwilą właśnie wyłączyłem światło w kuchni. A wydawało mi się, że patrzono na mnie zza okien i od tamtej pory postanowiłem jadać po ciemku.

Czasami z nagle dzwoni telefon. Pytają, czy tu nie jest klasztor niepokalanek albo klinika dla zwierząt, a ja i tak wiem, co myśleć o tym i nie daję się zbałamucić tak łatwo.

– Nie pański interes!

– Lecz to twój problem! – usłyszałem w słuchawce.

No i cóż takiego jej powiedziałem? Że chcę pójść na mszę za duszę jej zmarłej matki, i że zależy mi na tym... Przeszkadzałbym. Mógłbym powiedzieć o wiele więcej, ale w końcu zmitygowałem się. Łękam się od pewnego czasu jej pocałunków, co jest tym dziwniejsze, że uprzytomniłem to sobie dopiero teraz. Muszę rozzerwać te pęta! Epizod. Spać.

Rano obudziłem się i było mi smutno. Kotka dopominała się o codzienną porcję uczuć, wyjeżdżam do Oświęcimia. Pewien reżyser zaproponował mi współpracę przy realizacji filmu o twórczości i życiu innego reżysera, a z trzecim reżyserem ma być przeprowadzony wywiad. Pierwszy był w stanie lekko zachwianym, ten, o którym opowiada film,

niestety już nie żył, a trzeci wziął sprawę we własne ręce i zaczął reżyserować scenę, w której sam uczestniczył. Do późna snułem się między barakami po Brzezince, natężając słuch w poszukiwaniu odgłosów ptaszków, psów, odległych pociągów. W pewnej chwili zauważyłem na drzwiach najbliższego baraku czyjąś sylwetkę i włosy stanęły mi dęba... Operator pracował nad sceną ze światłem i przestraszyłem się własnego cienia...

Nie da rady. I wracając do samochodów, wpadłem na pana reżysera. Żalił mi się, że po śmierci żony został sam z dwoma kotami w pustym mieszkaniu i teraz nawet nie ma kogo oszukiwać. Niebawem dołączył do nas kierownik zdjęć, który musiał uśpić swojego psa, chorego na raka, zaś pani asystent pragnęła debiutować, opuścił ją mąż, psuła się maszynka do robienia dymu, ale...

Uff! Wróciłem do Warszawy. W pokoju cisza. Godzina dwunasta w nocy. To tak na marginesie. Nie, źle to napisałem. Powinienem napisać, że mam znów cholernego pietra i nie wiem tym razem dlaczego, po co, ale to już nikt oprócz mnie nie zdołałby tego wszystkiego pojąć...



Przyszło mi do głowy dzisiaj, że niektóre słowa na przykład takie jak: „jednomysłność”, „razem”, „wspólnota”, można by już właściwie spisać na straty, a pozostawić w zamian za to słowa: „nierówność”, „każdy inaczej”, „antyteza”, „sam na sam” i tak dalej i tak dalej. Coś w tym rodzaju, Boże mój...

– Co za zuchwałość.

Usłyszałem po prawicy, z lewej zaś:

– Mówiłem dawno. Fałsz i obłuda, Ojciec.

– Pan wybaczy. Dezynwoltura i niesubordynacja. To się już nie powtórzy, zapewniam wasz mości.

Bóg miał nogę do kolana w gipsie, a co ważniejsze, w trakcie tej naszej dysputy, pisał pracę habilitacyjną o nadejściu Mesjasza.

– Poproszę waćpana o argumentację.

– Moje całe życie...

– Nie czas i miejsce na dywagacje.

Znów usłyszałem z prawej, a z lewej:

– Wnoszę sprzeciw. Jest to materiał na człowieka.

– Spokój. Ani się Bóg nie obejrzy... Zarządzam przerwę... albo ja wiem... Pomysł upadł. To zwykle przewrażliwienie, alergia, brak odporności na życie, jak pan zresztą raczył sam zauważyć. Należałoby zatem zwrócić się z tym do filozofa, lingwisty albo do lekarza. Mam dosyć...”

A potem z domu naprzeciwko doszedł do mnie sygnał alarmu. Spojrzałem przez okno, tak odruchowo, ale orzech zasłonił widok, chociaż zdarzało mi się już, że widziałem Jego oblicze...

Tam w koszarach, na przykład, On przybrał postać mojego kolegi, który uratował mi życie, a innym znów razem stał się na podwórku sąsiadów drewnem na opał, na którym przewróciłem się w tej samej chwili, kiedy ich koń chciałby mnie kopnąć, no i wreszcie parę lat temu w sądzie On także pomógł mi, jednak wciąż jeszcze muszę liczyć na

czyją życzliwość. Czasem spotykam kogoś, z kim chcę być trochę dłużej, a nie wychodzi mi. Ostają się melodia, wiersze, malowidło, Bóg... szelest deszczu...

Czekałem na ten dzień. Urodziłem się podczas zaćmienia Słońca. Dość powiedzieć, że nie była to dla mnie najlepsza prognoza na przyszłość. Znajoma uprzedzała mnie, że w tym dniu pozostał sam ze sobą i zapalił świeczkę. Miały dzieć się rzeczy niezwykłe...

Musiałem jednak pracować, gdzieś pod Bełchatowem, w pobliżu kopalni węgla. Trwały tam prace archeologiczne.

Pole, stado owiec i bransoleta sprzed czterech tysięcy lat. Któryś z archeologów zażartował, dłubiąc w naczyniu ze spalonymi szczątkami człowieka, że nieraz będąc w głębi ziemi, odnosił wrażenie, jakby ktoś patrzył na niego z góry...

Cienie zrobiły się dziwne, umilkły ptaki. Słabo mi... Owładnęło mną przygnębienie... Za rowem... koło dzikiej jabłoni... Co ja robię tutaj... Wszystko wokół, we mnie, załosne takie... Boże... Życ już nie chcę...

Na skrzyżowaniu ulic, nieopodal poddasza, na przejściu dla pieszych, na zielonym świetle pędził na mnie samochód. Rzucam się, uciekam. Nonsensy...

Wystarczy tylko pomyśleć...

O ufnym spojrzeniu psa

Dowiedziałem się z radia przed chwilą, że Kazimierz Brandys nie żyje. Odtworzono ostatnią z nim rozmowę przez telefon: – Czy ja nie mówię za długo... Uczucie przygnębienia.

Pana Kazimierza Brandysa poznałem w Konstancinie, ubiegłego lata. Kolega, któremu się zwierzyłem, że czytam tego autora, poprosił mnie, żebym to ja właśnie porozmawiał z nim i namówił go do sfilmowania pokoju w domu literatów, gdzie przebywał. Żeby jakoś zacząć rozmowę, przedstawił mnie pisarzowi, mówiąc skąd pochodzę, i że przeczytałem prawie wszystko, co zdążył dotąd napisać. Pan Kazimierz uśmiechnął się.

– Pięknie pan mówi po polsku.

Podczas rozmowy przed kamerą, gdy odpowiadał na pytanie dotyczące konfliktu na Bałkanach, mówił raczej o naturze ludzkiej, spoglądając często w moją stronę. Nosił kapelusik, a jego oczy przeszywały wokół wszystko na wylot. Na pożegnanie podziękowałem mu za „życie nie u siebie”, za wrażliwość, życzyłem zdrowia. Przepraszał za zmęczenie...

W mojej pamięci ożył urywek zdania z „Zapamiętanego”: o ufnym spojrzeniu psa. Oddałem książkę synowi, więc chcąc sobie przypomnieć to zdanie, zadzwoniłem do drzwi. Zdaje się, że przyszedłem nie w porę, Piotra nie było i czekając spaceruję między blokami na osiedlu. Za godzinę, dwie, znów dzwonię, odezwał się tym razem syn, zszedł z książką, i na parterze oparci o kaloryfer rozmawiamy o książce, szkole i o starszym bracie.

– Przychodź częściej, synku.

– Wpadnę w środę, kiedy wyjdę z psem na spacer.

Wracam do pokoju, zaczytuję się. Pod sam koniec książki napotykam to zdanie, które autor zapamiętał z lektury: „Ta żalosna potrzeba wiary w spojrzeniu psa...”

Uderza ewolucja, jaką przeszły te słowa w mojej pamięci. Minęło zaledwie pięć lat od dnia, w którym je przeczyta-

łem, ale swoją drogą, takie dziwne rzeczy działy się ze mną i przedtem. Do dziś nie wiedziałem na przykład, co mogło spowodować, że ochrzciłem psa imieniem bohatera Troi, i na pewno to nie moja słabość do Homera o tym przesądziła, ani też moja dalekowzroczność. Mogłem przecież psa nazwać Odysusz albo jakoś inaczej, a tu wymknęło się z ust Hektor. Podobnie było i z imionami moich synów.

Związłe to ujmując, mam upodobanie do imion bohater-skich, aczkolwiek zapowiadających swoim właścicielom niepowodzenie. Podejrzane zjawisko. Nieprawdaż?

Rozglądam się wokoło. Porusza mnie niepewność w oczach starca i na twarzy dziecka, i gubię się, jeśli ktoś drwi sobie z tego.

– No to co mam robić? – pyta mój syn.

– Nie wiem... Czytaj książki.

I szukam w nich zwykłego człowieka. Myślę teraz, że pies o ufnym spojrzeniu to nie był pies. Mój pies, choć nie żyje, to ktoś inny we mnie, a syn ma własnego psa, i nie znam jego imienia. Popłaczę... Ot i wszystko.



Stało się... No ale co warte byłoby to moje pisanie, jeśli by go nikt nigdy nie miał ujrzeć na oczy. Znajomi doradzali mi, co prawda, ażebym dał sobie spokój. Nie posłuchałem ich. Dość tych zgryzot i kwita. Trudno. Niech stracę.

W podobnych sytuacjach moja mama wylewała wodę na schodach domu tuż przed moim wyjściem. Miało mi się poszczęścić...

No ale nie było mamy, dzbanka z wodą i nie było deszczu, a pomimo wszystko zaczęło się śmiesznie.

Czwarte piętro, stare budownictwo, z nieczynną windą na parterze. Można się było naturalnie przyzwyczaić, aczkolwiek spodobało im się to, co zdążyłem napisać. Po pewnym czasie jednak przestali się do mnie odzywać i tak trwa aż do dzisiaj, bez śladu i bez wieści.

Byłem konsekwentny. Tym razem poszedłem do innej, skądinąd świetnie prosperującej oficyny, która zwabiła mnie swoim tajemniczym szyldem. Najzwyczajniej. Z ulicy. Zostałem teksty jakiejś młodej damie i wkrótce zaczęły się choroby, zagraniczne podróże, wszyscy zajęci albo na urlopie. Dzwoniłem co dwa tygodnie, czasami częściej. Kulturalnie, grzecznie a jednocześnie jak ten rzep psiego ogona. Po czterech miesiącach odesłano mi moje teksty w kopercie, pocztą, i z moim spinaczem. Proponowano, abym na początek zwrócił się gdzieś poza Warszawę, najlepiej do Krakowa, albo do Lublina.

Gdzie indziej natomiast potraktowano moje teksty jako sprawdzian z polskiego języka, a niedługo potem pochłonęły mnie konkluzje o rychłym końcu świata, co gorsza. Muszę pójść po zakupy. Kilka butelek z wodą, kawa, cukier, kilka paczek sucharków. Wiedziałem skądinąd, że w przyszłym wcieleniu urodzę się w znaku Ryb. Tak mi przepowiedziała pewna kompetentna osoba, a tymczasem szkoda mi było Wodnika. Zapytałem ją zatem, co będzie, jeśli się nie zbliżę ze słowem w tym tłoku do innych ludzi. Odpowiedziała mi,

że jeżeli Bóg chce się moim głosem posłużyć i tak się to stanie.

W takim razie miałbym do Wszzechwiedzącego małą interpelację. Jeżeli my jesteśmy w Tobie, a Ty w nas przebywasz, dlaczego ziszczenie naszych najgłębszych pragnień najczęściej nie mogło być w zgodzie z Twoją Boską koncepcją, i co zamierzasz w tej sprawie uczynić ze mną?

Noc, komary, duchota. Pod oknem koci harmider. Słowem... niefart i rany Boskie. Możliwe, no ale co ja na to poradzę. Taki mój żywot... I kwita...



Na samym początku chciałbym już zaznaczyć, że w mo-
wie łaćńskiej jam człowiek raczej mocno nie rozezany.
Przepatrzyłem tu i ówdzie zatem, aby się dowiedzieć, jak
głęboką posiadały te słowa ekspresję, a gdy sedno sprawy
uchwyć, dopadły mnie skojarzenia.

To prawda. Wypowiadali te słowa różni ludzie. Teście-
wie na przykład, żona też, nauczyciel, po nim pewien kapral,
były pryncypał, jeden boży sługa i kilkunastu nawet arcymi-
strzów pióra, aczkolwiek dawały mi te słowa, bez wątpie-
nia, za każdym razem co innego zgoła do myślenia.

Kara, niepożądane odwiedziny, zło, utrata przyjemności
wszelkich, a ponadto jeszcze wåtpliwa pocięcha i zbawie-
nie. Należy też wspomnieć o ulotnych chwilach...

Czy ja się uwinę, aby sam coś powiedzić o tym...

– Przeżyłem już sporo pustych myśli, godzin, pustych
dni. Mam również trochę grzechów na sumieniu. Samou-
kiem byłem, może niezbyt głupim, ale za to naiwnym. Nie-
raz zastanawiam się, co ocalałoby z pamięci życia, które
nosiłem do tej pory w sobie.

Ledwie obrazów może kilka, twarze kilku osób...

Jesteśmy z żoną w nieogrzewanym kinie na obrzeżach
miasta. Rozcieram jej stopy, a potem je trzymam na kola-
nach...

Moja żona stoi na schodach, obok poręczy, w szpital-
nych szatach... Płacze. Urodził się nam synek, ma na imię
Piotruś... Mówi mi: – Zdrow, tylko że bez lewej dłoni...

Moja mama traci wzrok. Ciemno w bloku tego wieczora,
wyjeżdżam. Odprowadza mnie ze świecą, pyta: dlaczego ja
opuszczam.

Przechodzę z zakupami ulicą. Ktoś mówi za mną głośno:
„Tato”. Nie widzieliśmy się od dłuższego czasu, urósł. Ucało-
wałem go na skrzyżowaniu ulic. W nocy słyszę jego głos.
Zaglądam przez okno, a tam śnieg sypie.

Przybywam za późno na pogrzeb ojca. Stoję nad rozko-

paną ziemią. Zadrapałem rękę w krzakach i kapie krew na
ubranie, na kwiaty, na ziemię.

Mam przeczucie. Te obrazy mnie już nie opuszczą, żeby
ich i po śmierci znów doświadczać.

Ale i wtedy, jak mój czas przyjdzie, będę krzyczał do
śmierci i złorzeczył.

Tak mało czasu użyczyła mi ona na moje rozumne
trwanie.



Trzymali się za ręce. Żołnierz w nowym mundurze, w prochowcu szarym dziewczyna. W kościele odmawiali pacierz. On na kolanach, ona łyż roniąc pośród zgromadzonych ludzi.

Jeszcze Polska nie zginęła. Organy, spocznij. Podhalańczycy wyjeżdżali do Albanii. Ojczy nasz, którzyś...

Na Bałkanach znowu zawierucha. Dzwony rozdzierały przed kościołem uszy.

„– Powiedz mi, czemu płaczesz?”

„– Lepiej, żeby tam nie wyjeżdżał. Skoro tak trzeba...”

Defilada.

Dłużyła mi się ta moja podróż do Warszawy. Od pewnego czasu wciąż poszukuję czegoś wzrokiem, dając z siebie wszystko, i wciąż dzieje się inaczej niż mogłem to sobie wyobrazić.

Dłużył mi się też lot po uchodźców z Kosowa. W pustym samolocie, z kolegami, strażą graniczną i lekarzem. Bałem się co nieco, a przy tym chciałem tych ludzi zobaczyć. Wszakże zostali pozbawieni domów, stron rodzinnych, dobytka życia.

Na lotnisku w Skopie widziałem ich umęczone twarze. W pośpiechu wrzucone do toreb i walizek kilka ciuchów, pomadka, przybory do golenia, drobiazgi dla dzieciaków. Czulem zapach nie umytych ciał i potu. Podnosili ręce przed policjantami powtarzając, że zabito im synów, mężów, zgwałcono córki. Szukano u nich broni i narkotyków. Wchodzili do samolotów płacząc.

W Krakowie dostali kwiaty. Późną nocą, poczęstowano ich ciepłym posiłkiem i zrobiono zdjęcia, na tło ściany, do dokumentów. Budynek, w którym mieli przebywać był stary i przesiąknięty zapachem tłuszczu. Pokoje duże, bez szafek, na korytarzu tylko jedna łazienka, a dookoła domu widziałem ogrodzenie z kolczastego drutu. Próbowałem się z nimi porozumieć. Mówili po serbsku, po macedońsku i ja po buł-

garsku. Pytali mnie, skąd znam ten język.

Ja tam się urodziłem na krańcach Europy. Byłem dzieckiem i nie pamiętam już, jak to się stało, że ludzie, których spotykałem na co dzień w moim mieście, a inną mieli mowę, wierzyli obcym prorokom i ubierając się inaczej, zamieszkiwali na uboczu, a zatem, omijałem szybko tych ludzi z daleka. Od dawna, powszechnie i na różne sposoby dowiadywałem się, kto był kim dziś, kiedykolwiek.

A teraz zobaczyłem uciekinierów w Skopie i na Podhalu. Chcieli po swoim życiu i z dala od mojego świata, aż poza nim, poza czasem, uludą i moimi wyobrażeniami od czterdziestu pokoleń. Doznawałem dziwnego uczucia. Ja byłem jednym z nich.

Niekiedy słyszę, że jesteśmy ludźmi nieokrzesanymi, że okrucieństwo tam na Bałkanach wszyscy mamy we krwi i zdarza mi się wtedy, że nie potrafię wykrztusić z siebie ani słowa i nie wiem, co począć.

A żalność mnie ogarnia i szkoda mi tej krwi. I Albańczyków z Kosowa mi szkoda, i Serbów, i żołnierza z dziewczyną, i wiosny.

Nieopodal budynku z uchodźcami pewien góral trzymał na uwięzi psa, bo jakby wypuścił, to by potargał, a bunc u niego kosztował drożej niż w supermarkecie.

„– Czemu, baco, tak drogo?”

„– A bo tak. Bywajcie!”

Kwitły jabłonie, wiśnie, bzy. Maj. Różne krajobrazy i periferie.

Przyjechał do Orońska na lepienie w glinie razem ze swoją matką i podczas kilkunastu wspólnie spędzonych tam dni, spotykając go, widziałem jak zawsze trzymał matkę pod rękę i chodził z opuszczoną głową.

Podnosił głowę tylko wtedy, kiedy układał gliniane fragmenty w jedną całość. Nagle pogodniał, ciężko oddychał, wodził palcami po spoconej twarzy i po klatce piersiowej odkrytej ciasnym szlafrokiem w kwiatki. Mamy nie mógł przecież dotykać, a rzeźbił bodajże jej wizerunek. Tak przynajmniej mówiła mi o tym sama.

Opowiadała jeszcze, jak on potrafił obierać buraki i ziemniaki, jak pięknie rąbał drzewa, i że w tej wsi, skąd oni pochodzą, dał się polubić wszystkim dzieciom. Dotykając każdego, poznawał, kto przychodził do ich domu, czuł nie wiadomo jak i skąd, że za oknem deszcz padał, wiedział też, kiedy były pioruny i był ciekaw całego świata.

Niedawno, podczas świąt Bożego Narodzenia, prosił wszystkich obecnych w domu, wypisując litery na ich dłoniach i na plecach, aby czym prędzej oczy wytupali jakiemuś kotu i aby je dali jemu... Gdzieś musiał chyba po kryjomu wypić, a teraz rzeźbił popiersie kobiety. Stuknęło mu już czterdzieści lat, a do tej pory nie miał jeszcze ani jednej dziewczyny...

Jakieś złe oczy rzuciły urok na jej syna i ściągnęły na nich to wielkie nieszczęście.

Prosiła tylko, ażeby on najpierw odszedł ze świata, a dopiero wtedy i ona mogłaby spokojnie umierać.

Zajrzałem do pracowni. Układał troskliwie we wnętrzu rzeźby gliniane serce, kości, płuca, jakby tam chciał jeszcze powrócić i znaleźć dla siebie schronienie.

Głowa rzeźby miała wielkie nadprzyrodzone uszy, a oczy szeroko otwarte. Dziwny zaiste był to wizerunek...

Na wernisażu zatrzymałem się przed nim ponownie.

Najpierw wydawało mi się, że była w nim zawarta bezradność, a potem rozumiałem, że to był krzyk zwyczajnej rozpacz. Pozostawiony w moich uszach, na moich oczach i w wilgotnej glinie..



Święta Barbara, grupowy seks i nietoperze

Święta Barbaro, na pomoc! Kopalnie nam zamykają, dokąd się udać, zginiemy przecież!

Nosili Ją w lektyce. Od drzwi kopalni do kościoła, z flagą, orkiestrą dętą i z księdzem. Świętą Barbarę, wyrzeźbioną w węglu. Sobota.

W sobotni wieczór syn razem z kolegami i księżmi z pobliskiego kościoła grał w koszykówkę. Kibicuję mu. Próbował radzić sobie tylko jedną ręką i wyskakując po piłkę, tracił równowagę, przewracał się.

– Co zrobisz, jeśli tak, jak to chodzą wieści, od przyszłego roku zostaniemy wszyscy bez pracy? – zaskoczył mnie swoim pytaniem w przydrożnym barze kolega. Widzę na moim talerzu muszkę. Utknęła w buraczkach i nie wiem, co zrobić z resztą jedzenia.

Kupiłem żonie róże. Syn się ucieszył, ale nie chciał po lekcjach przychodzić do pustego ciągle domu. Zamierzał kontynuować naukę u zakonników, w internacie. Zapytał mnie, co o tym myślę. Chodzę tam i z powrotem, pouczam go. Nie powiedziałem mu, jednak, że jego ojciec ma w sobie duszę przybłądy, i że od dawna już nie opuszcza go myśl, że nie jest w stanie mieć wpływ nie tylko na to, co spotyka jego, ale i jego najbliższych, na nic. Czy mój syn by to zrozumiał? Bałem się, że jeśli zamieszka w internacie, do domu już nie wróci. Chciał pójść ze mną do kina, ale musiałem wyjechać do niewielkiego miasteczka, aż pod zachodnią granicą. Podupadały tam szpitale, muzeum, biblioteka i domy dla biednych i upośledzonych. Odwiedziliśmy potem z kamerą podziemne fortyfikacje. Na ścianach baru widzę pleśń... W tunelach spało 30.000 nietoperzy, sprowadzonych z Belgii albo z Hamburga, nie zapamiętałem dokładnie. Pod jednym z nich, w świetle latarki, przeczytałem: „Tu odbywał się grupowy seks.” Wychodzę z baru. Do Warszawy pozostało jeszcze ze sto kilkadziesiąt kilometrów...

Przed wejściem do domu leżały moje teksty z opinią pewnego wydawcy. Po szczegółowej analizie formalno-językowej stwierdzono, że w utworach aż roi się od zdań błędnych gramatycznie i urągających składni oraz logice polskiego języka, że pisząc po polsku, myślałem po bułgarsku, że to chwilami przypomina bełkot, i że w większym stopniu należało zadbać o koloryt i o nastrój opisywanego świata...

Szukam pointy. U Kopalińskiego przeczytałem zdanie, które zostało napisane przez Owidiusza na wygnaniu w Tomis: „Jestem barbarzyńcą, bo nikt mnie nie rozumie...” Trochę za mocne chyba, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Myślę o księdzu uganiającym się po boisku za koleżankami syna i o pewnym starszym człowieku, który malował niebieskie choinki i karmił ptaszki gwiazdkami z papieru... Ni to mężczyzna, ni to kobieta, zanucił: „– Panna czysta urodziła syna...” Owidiuszu...



„... W pobliskim parku siedzę na ławce i tak po prostu i bez powodu jestem wniebowzięty. Nie mogę... nie wierzę... Pysznie! Miło było cię widzieć, oddycham świeżym powietrzem i patrzę na odsłonięte kolana blondynki siedzącej na ławce nieomal vis a vis...”

Przestaję na chwilę pisać. Chyba nieźle, aczkolwiek o ławce zostały już nakręcone filmy, pisano w pamiętnikach, w dramatach i w wierszach. Czyli powinienem zacząć jeszcze raz od początku i może bardziej nietypowo... No ale o blondynce też było kiedyś głośno. I wciąż: nie mogę... nie wierzę... Pysznie! Wszystko istniało wcześniej i co w moim pisaniu jest od początku do końca moje? Czegoś doświadczam, coś czuję, słyszę słowa. Niektóre z nich odnajduję w sobie, inne przynoszą mi ludzie. Jestem kolekcjonerem słów i nastrojów. Jeszcze nie wiem, jaką posiadają wymowę dla kogokolwiek, a czuję, że są przeznaczone właśnie dla mnie.

Podobnie było i na Rynku w Krakowie. Dojechaliśmy do miasta, kiedy zapadał zmrok. Ciepły wieczór i mnóstwo uśmiechniętych ludzi, lampiony, parasole, wznosiły się oświetlone Sukiennice. Byłem zmęczony i po ciężkim dniu dokuczał uporczywy ból głowy. Chcąc się upewnić, czy nie popełniłbym omyłki, w przyszłości próbując napisać o tym, co nas otacza, zapytałem kolegów jak nazywa się plac wokół Sukiennic...

– Mówisz jak prawdziwy Bułgar! – powiedziała koleżanka, a kolega, który był krakowianinem z dziada, pradziada zapytał:

– A jaka jest stolica waszego kraju? Czy to nie jest Psków? – i dodał coś o papryce i o Bułgarach. Następnego dnia pod Kaplicą Zygmunta, próbowałem zażartować z wczorajszej rozmowy mówiąc wszem i wobec jacy to z nas nie-ludzie, którzy urodziliśmy się na Bałkanach, na co ten sam kolega odpowiedział:

– Nie zaczynaj z krakowianinem, bo mogę spowodować, że jak będziesz chciał przyjeżdżać do Krakowa, będą ci potrzebne wizy!

Przypomniał mi się pewien konsul, który wypytywał mnie czy ktoś z mojej rodziny był kiedykolwiek członkiem partii, uzależniając od tego zgodę na mój stały pobyt w Polsce. Takie głupawe miałem myśli, co nie zmieniało postaci rzeczy, że czuję się zagubiony bez względu na to, gdzie przebywam: w Krakowie czy w Seville. Nie pamiętam nigdy nazw, ulic i nie mam czasu na nic, tylko na pracę. Nie chcę się usprawiedliwiać w ten sposób, ale rzeczywiście jest coś dziwnego pod tym względem we mnie.

Koledzy poszli na piwo. Więc spaceruję po uliczkach. Chodzę od kawiarenki do kawiarenki. Nie ma mnie. Wstyd się przyznać, ale pod Sukiennicami robi mi się zimno i zakładam sweter. Przez chwilę zastanawiam się, czy przebieranie się w tym miejscu jest w dobrym tonie. Mam ciepła za mało i jak to już bywało nieraz przypominają mi się słowa, jakie usłyszałem wczoraj rano we wsi:

– Dziękujcie, że jeszcze jesteście! – opowiadała dyrektorka szkoły, powtarzając fragment rozmowy prowadzonej w gminie o rychłej likwidacji ich podstawówki...

Jedynie te słowa utkwiły mi jakoś w pamięci. Nic nadto.

Miasteczko promieniowało uwielbieniem. Na Rynku, w małej cukierni, właścicielka poczęstowała każdego z naszej ekipy papieską kremówką, biły dzwony, grały orkiestry dęte, dziś świętowano papieskie osiemdziesiąte urodziny. On w Watykanie, my w Wadowicach. W czerwcu, minionego roku, będąc na tym samym Rynku ledwie powstrzymałem łzy wzruszenia...

A w kamieniczce, gdzie mieszkała rodzina przyszłego papieża, rozmawiałem z siostrą nazaretanką. Pamiętała, jak w roku 1979 papież podniósł ją wysoko, wysoko na rękach, dziękując w ten sposób wszystkim nazaretankom za to, że go Bóg sobie upatrzył, a w Rzymie znów, papież zauważył wśród wiernych i trochę podniesionym głosem powiedział do niej:

– Pozdrów Kazia!

Skrzypiała podłoga. Siostra przepraszała za swoje gadulstwo, ale żeby dom można było utrzymać pobierała od pielgrzymów opłaty. „Takie czasy nadeszli...”

W gablotach leżały papieskie skarpetki z wełny, pudełko od herbaty, fotografie, obok kosz na bieliznę, Jego buty i narty. Zapamiętałem twarz kilkunastoletniego Karola Wojtyły. Wydawało mi się, że zobaczyłem na Jego twarzy cierpienie i wewnętrzną moc, samotność, przecucie...

W samochodzie czekało na mnie pytanie:

– Czy to prawda, że Bułgarzy chcieli nam zabić papieża? Znam tę gadkę, a mimo to siedzę cicho aż do Warszawy. Mam tego dosyć.. Ale już po kilku dniach wystarczyło tylko, że usłyszę słowo „jedziemy” i jest mi lepiej. Przecież to moja praca.

Pojechaliśmy nad wschodnią granicę. Przepiękne pejzaże: jeziora, gdzieś pagórki i zieleń, która mieniła się wszystkimi odcieniami. Jakież to piękne! Prawda? Ale gdy operator szedł z kamerą na kolejną górkę, żeby stamtąd lepiej zrobić zdjęcie, nie chciałem dłużej się wspinać i wspó-

odczuwać, za co zostałem napiętnowany za brak wrażliwości na piękno. Pytano o powody, a ja bałem się odpowiedzieć, że mnie to nudzi. Był jeszcze jeden powód mojej limitowanej percepcji: bolał mnie ząb, o czym nie zdążyłem wspomnieć.

Z samochodowego radia dochodziły komunikaty o koalicyjnej separacji, gdy tymczasem nieopodal granicznego paśa paśa się krówka i fruwał motylek. Muszę dodać, że na tym powinienem poprzestać opisy matki natury, ponieważ obecna pani porucznik stała na stanowisku, że tego wymagają względy państwowego bezpieczeństwa.

Po powrocie do Warszawy odwiedziłem dentystę. Będę miał kolejny martwy ząb... i jak tu żyć... Jeśli już o to chodzi...



Tańczyliśmy ryczenicę. Śmierć, miłość, moje życie, bęben, obój i harfa. Czuję się niczym piórko na wietrze. Śmierć mnie z oka nie spuszcza, miłość odwraca się ode mnie, życie znam z widzenia. W tle kondolencje, dramaturgia, mój osamotniony geniusz, myśli, odwaga, uczucia i dwaj spadkobiercy. Ryczenica zapierała dech w piersi, debre ucha i tak dalej przez lat kilkadziesiąt, tańczę, poszukując zbawienia.

Zaczął padać deszcz. Werwy nabrała dramaturgia, skończyły się kondolencje, powyjeżdżali spadkobiercy i pozostali, śmierć i miłość schowały się przed ulewą w dębinie. Zostałem sam jeden z moim życiem.

„– Czy pan jeszcze coś sobie życzy? Jeśli nie, to poproszę za ciastko z kawą pięć pięćdziesiąt. Dojdą do tego koszty egzekucyjne dla komornika, zaległe i bieżące alimenty plus koszty ekshumacji, w międzyczasie konieczna też jest eksmisja, no i oczywiście teraz chodzi o to, co zrobić z pańską duszą. Zainteresowana nią jest pewna określona mniejszość, to byłby autentyczny sukces. Dostałby pan złoty pięćdziesiąt za egzemplarz, honorarium wyniesie z tysiąc pięćset, pan ma talent i kontakt z transcendencją. Poproszę a konto o autograf, choć może się okazać, że pański powrót nie opłaci się i w konsekwencji się nie uda”.

Dziewucha nosiła krótką spódniczkę, miała co najmniej dwadzieścia wiosen i wiekuisty półuśmiech. Zapłaciłem złotych siedem. Przestało padać. W kawiarence wraz ze mną przy tym samym stoliku zwidy i próby interpretacyjne różnych kwestii.

Naszło mnie znów bezpośrednio i namacalnie to wszystko naraz. Debre ucha i niech się dzieje co chce...

Nie umiał spać z kobietą w łóżku. Peszyła go myśl, że znacznie chrapać przez sen, dręczyły dolegliwości żołądkowe, gdy powinien był dawać dowody czegoś innego. Mimo to leżał przytulony do niej i od dobrych kilku minut zastanawiał się jak taktownie przekręcić się na bok. O, Chryste...

To było prawie dwadzieścia pięć lat temu. Pamiętał tylko tyle, że spacerowali po uliczkach we mgle. Razem, a jakby osobno. Nie wiodło się najlepiej i to czyniło ich w jakiś sposób bliskimi sobie. Jednak kiedy stanęła w drzwiach salki, nie poznał jej od razu. Opalona, szczupła. Te same płonące oczy. Po drodze do kawiarni opowiadała o swojej ostatniej podróży, i że wciąż czuje zapach morza we włosach. Czekając na nadejście autobusu, zarzucił jej na ramiona marynarkę. Przyłgnęła do niego, na chwilę... Zabierała na spacer, koncerty. Siedząc przed nim w kucki na podłodze, pokazywała kamienie, płyty, fotografie. Częstowała jedzeniem. Zaczęły się w nim budzić tęsknoty, niepokoje. Trudno było się zdobyć na spokojne podejście do tego, co się działo. Nawet rozmowa przez telefon o bezsensowności dalszego widywania się miała jedynie taki skutek, że następnego dnia musiał się zjawić tam, gdzie pracowała, aby usłyszeć wyszeptane: – Nie potrafię już spać, myśleć.. pocałuj mnie!

Całował ją jak opętany. Sprawiało mu radość najmniejsze drżenie jej ciała. To coś, coś nowego było w nim i dla niej niestety także było nowe. Ale jak można inaczej zaprzyjaźnić się z kobietą...

Zestarzał się. Nawet nie przypuszczał, że tak szybko się to stanie. Życie go nie oszczędzało. Najpierw zmarli rodzice, rozleciała mu się rodzina. Z pracą też nie było za dobrze. Zwalniali ludzi, a nie miał ochoty przekonywać kogokolwiek o swoich umiejętnościach, wchodzić w układy i zaczął myśleć o emeryturze jak o zbawieniu. I walczył. Z własną i cudzą przeciętnością. Na razie to nic nie dawało oprócz tego, że zaczęto go unikać. Zresztą chwilami sam siebie przesta-

wał za to lubić. I być może dlatego, zanim nie dotarło do niego, o co chodzi, nie zdziwiły go jej słowa podczas spaceru po mieście, że należy zachowywać się strategicznie. A wypowiedziała je jedynie po to, aby się usprawiedliwić z pójścia na przyjęcie z kimś innym, kto miał samochód, z kim było łatwiej wracać do domu nad ranem.

Mógł tylko do woli pisać. Na dniach miały się ukazać cztery miniatury. Po czterech latach od napisania. No i na cóż to wszystko. Doradzano, aby wymyślił sobie pseudonim, pod którym może udałoby się opublikować teksty szybciej, ale nie wyobrażał sobie siebie w roli osobnika, do którego, dajmy na to, przychodzi znajomy i pierwsze, co widzi, to twarz starego wariata S. H.

– Jagody, jagody, jagody! – usłyszał za oknem i ostrożnie wyplątał się z objęć i prześcieradeł.

– Chyba już pójdę.

– Nie cierpię, jak tak wychodzisz po cichu.

No i umówili się za dwa dni o szesnastej u niej. Pech jednak chciał, że tego dnia zachmurzyło się nieludzko. W gazetach i w radiu roilo się od komunikatów o porażonych piorunami podczas wczorajszej burzy i chcąc ubiec nawałnicę, kupił ciastka i zadzwonił około piętnastej do bramy.

– Witaj. To ja.

– Przychodzisz o godzinę za wcześnie... maluję w przedpokoju.

Był tak zaskoczony, że nie mógł nic sensownego z siebie wykrztusić. To jakiś absurd.

– Przepraszam. Nie wiedziałem. – i szedł w stronę ulicy.

– Poczekaj! – rozległo się z domofonu, ale gnał, nie zważając na przejeżdżające samochody i światła.

Dopiero niedaleko osiedla, na którym mieszkał, przypomniał sobie o pudełku z ciasteczkami i postanowił wpaść do dziewczyn z Best Mallu. Dziewczyny zwierzały mu się, prosiły go o radę, a on zapowiadał, co je czeka. Poczęstuje

ciastkami i wyjedzie gdzieś, choćby na krótko. Weźmie kilka wolnych dni i wyjedzie. Nie będzie nikogo prosić o życzliwość. Chłodne powietrze ogarnęło go od stóp do głów i przez moment sprawiło, że na myśl o tym, co się wydarzyło pod jej blokiem, odczuwał coś podobnego do błogostwieństwa.

Do marketu zaczęło wchodzić coraz więcej ludzi przemoconych deszczem. A jemu udało się tu przyjść suchą nogą i w samą porę. Tak, tak. Coś w tym musiało być. I ufnie zaczął rozpakowywać ciasteczka z kartoniku.



Napadło mnie znowu... W kinie podczas projekcji. Oglądałem film Carlosa Saurya „Tango”. Być może sprawiło to brzmienie kwintetu, d-moll, A-dur, synkopy, pizzicato skrzypiec... Oczy nieprzytomne, zwinne ruchy ciał... To zapada w duszę. Napisy, próbuję wziąć się w garść. Ulica, autobus, a nie przechodzi mi.

Moi Rodzice uwielbiali tańczyć tango. Siedziałem w kasynie przy stoliku i nie mogłem oczu oderwać od nich. Mama była bardzo piękna. Ojciec musiał chyba odczuwać zazdrość, a ja z tej przyczyny co pewien czas wpadałem w przykre sytuacje. Z upływem czasu jednak ojciec dał sobie z mamą i ze mną spokój, no ale wtedy nagle sam zacząłem cierpieć za niego.

W dymie papierosów i zapachu taniego wina mój ojciec wpadł na pomysł, aby kupić mi akordeon i stare pianino. Tańczyłem kiepsko. Krępuję się i teraz, kiedy przebywam w obecności ludzi, których nie znam, wydaje mi się, że gdy o czymś pomyślę, inni i tak wiedzą o tym lepiej ode mnie, a rozmowę najchętniej rozpoczynam od słów: „Nie wiem, mogę się mylić”, szczególnie, jeśli przebywam w salonie albo na przyjęciu, gdzie aż roi się od dam i możnych tego świata.

Tego wieczoru było ich tam bardzo dużo. Odświętna, uroczysta gala i Nike ze skrzydłami a bez głowy, rąk i nóg... symbol zwycięstwa bogów. Siedziałem pod daszkiem transmisyjnego samochodu, przed teatrem Stanisława Augusta, z moimi słuchawkami na uszach, zastanawiając się, co powodowało, że czyjeś pisarstwo nagle staje się komuś tak bliskie, że nie można go czytać bez lęku, a inne tymczasem, choć estetyczne i mądre, nie wzrusza mnie. Dlaczego nie lubię polityki w literaturze pięknej i dlaczego zapamiętałem z tej gali tylko głos żony laureata, głos, który zadrzał, gdy czytała jego list...

No ale co to mogłoby mieć wspólnego z argentyńskim

tangiem. Otóż chcę pisać tak, jak grali i tańczyli ludzie z filmu... prawdziwie, ze wszystkim, do cna i zapomnieć, że było to muzyką, tańcem, aż stanie się to moim życiem i przeznaczeniem.

Inaczej pisać nie warto, nie wiem... Mogę się mylić...



Koleżanka moja zmarła. Przez szereg lat pracowałem razem z nią w tej samej firmie: „– Cześć” albo „– Witaj” mówiliśmy do siebie na korytarzu, w fonotece, na ulicy... Ledwie minął rok, może dwa lata od dnia, w którym pochowała oboje rodziców, a teraz sama odeszła. Była zawsze taka pogodna, uśmiechnięta.

Ja nie wiem, co się wtedy ze mną stało... Nie wiem... ale jak usłyszałem o jej śmierci powróciłem myślą do wczorajszego zajścia w moim pokoju. Był późny wieczór. Wyłączyłem światło i usiłowałem zapaść w sen, kiedy zza okien doszedł do mnie hałas. Coś się ruszało i zaczęło postukiwać w szybę. Chcąc, nie chcąc, musiałem podnieść się po ciemku i palcami zabębniłem w oszklone balkonowe drzwi w tym samym miejscu, skąd owo pukanie roznosiło się najgłośniej. Wszystko na nic. I tak to pukanie trwało przez kilka następnych jeszcze minut, aż wreszcie się uspokoiło.

– Zmarła wczoraj wieczorem, około dwudziestej drugiej, w szpitalu – powtórzył kolega z redakcji.

A więc, jej śmierć najprawdopodobniej nastąpiła o tej samej porze... Powiązanie tego, co zaszło u mnie, z ostatnimi minutami jej życia było już czymś tak oczywistym, że gdy wróciłem do domu starszej pani, postanowiłem jej o tym opowiedzieć. Zaśmiewała się, mówiąc, że to był na pewno jakiś wygłodzony szczurek z ogrodu. No ale w dalszym ciągu nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego w takim razie ów „wygłodzony szczurek” nie wolał zjeść gruszki czy jabłka, tylko zapukał do moich drzwi. Słowem – pytania kłębiły się we mnie coraz bardziej i bardziej, ale nie rozmawiałem już z nikim na ten temat, ponieważ uprzytomniłem sobie swoją nikłą wiedzę z dziedziny zoologii.

A tak w ogóle wszystko wydawało mi się jakieś takie dziwne w tym roku: i ta moja choroba, i te wakacje... i nawet ten nagi konar z jednej strony orzecha, a z drugiej

mnóstwo zielonych liści. Co gorsza, roślinki też powariowały. Do tej pory wiedziały kiedy mają rosnąć, kiedy przywiednąć, a tu pięknie, zielono, wiosennie.

Moja koleżanka miała pięćdziesiąt jeden lat. Niewiele wiedziałem o niej. Być może nie wszystko układało jej się tak, jakby mogła tego sobie życzyć. Wiedziałem, że trzymały jej się przesady, to prawda. Przesady ludzi samotnych, zmarnowanych, ale żeby to aż tak... Nie jestem amatorem plotek, ale na dzień przed pogrzebem słyszałem o niej, że jakoby potrafiła rzucać uroki za pomocą kukielki symbolizującej ofiarę, i że na dowód tego po jej śmierci widniały na ciele ropiejące rany w tych samych miejscach, gdzie wymierała ciosy przeznaczone dla kogoś innego.

– Ludzie nie uszanują niczego – powiedziała nasza wspólna znajoma, od której dowiedziałem się, że kilka lat wcześniej nieżyjąca koleżanka nabawiła się ciężkiej choroby i próbując przywrócić zdrowie, korzystała z rad bioenergoterapeutów i wróżbitów.

– Średniowiecze! – zawyrokowała, słysząc to, inna osoba. A ja nie mogłem wprost wyjść z podziwu dla mojej koleżanki: w pewnej chwili musiała chyba wiedzieć, że jest z nią kiepsko i zamykając się w mieszkaniu, daleko od wszystkich, mdlała i pracowała do końca.

Spoczywaj w spokoju... Na tym naszym zwałowisku jest wszystko po staremu. Czekamy wciąż na śnieg, żeby nam trochę miłsze to życie uczynił, a mnie dodałby nadziei, że coś może się stanie. No ale to długa historia. W każdym razie o wiele dłuższa niż mogłem podejrzewać. Nie lubiłaś mnie zbyt... Prawda? Więc tym bardziej nie potrafię zrozumieć dlaczego właśnie ja... Natomiast w to, co inni mówią o Tobie, nie wierzę. Żegnaj... Tyle rzeczy chcę jeszcze zmienić w moim życiu...

Moi koledzy powrócili do domów, a ja miałem spędzić noc w orońskim pałacu, sam jeden...

Czułem się zwyczajnie, aż do chwili, kiedy otrzymałem w wartowni klucz ciężki, wielki, patyną czasu okryty. Przekręcił się ze zgrzytem w moich rękach, ustąpiły drzwi i po omacku wszedłem w długi i ciemny, duszny korytarz. Z prawej były zakręcone w górę schody, które prowadziły do mojej komnaty, tliło się nad jej drzwiami światelko.

Próbowałem przed snem jeszcze coś przeczytać, ale wszystkie myśli miałem rozproszone, nieposłuszne i wówczas zacząłem mówić z pamięci te swoje ni wiersze, ni też opowieści.

Krople deszczu odezwały się na dachu, a niedługo potem powoli, jakby po podłodze, przemierzały w moją stronę, poskrzypując coraz bliżej.

Ależ ja byłem strachliwy...

Przyszła w białych dżinsach, w białych butach, w milczeniu i w sportowej, białej koszuli.

Usiadła na skrzyni i pachniała dymem z leśnego ogniska. Wypryski widziałem na jej twarzy, loczki i podkrążone, niebieskie, zamysłone oczy.

Słuchała, słuchała, a ja bałem się przerwać te moje opowieści. Z komnaty wyszła nad ranem. Spojrzałem przez okno, ale z pałacu nikt nie wychodził...

Przyjechali koledzy i po kilku dniach już zapominałem prawie o tej nocy spędzonej w komnacie, kiedy o zmierzchu w dniu przed wyjazdem, spotkałem ją w parku, tuż nad samym stawem.

Powiedziała mi, że już od dłuższego czasu spać nie może po nocach i że ludzi, tu w tym pałacu, co jakiś czas tylko na swojej drodze spotyka.

Spodobały jej się te moje opowieści, gdyż odnalazła w nich swojego ducha, ale bytoby może i lepiej o sobie nawzajem zapomnieć, bowiem nie chciała już dłużej być na

tym świecie człowiekiem...

Przytuliła mnie na pożegnanie i życzyła mi pomyślnej podróży.

Siedziałem w samochodzie wśród kolegów, a coś dławilo w gardle. Odwykłem, zapomniałem, jak brzmiały te proste słowa, które nie ukrywały uczuć, myśli, dążeń...



Stałem w ogrodzie i patrzyłem na zachmurzone niebo. Nasłuchiwałem, jak wznagał się, poświstywał wiatr, gdy nagle gałęzie, liście drzew zaczęły podnosić się do góry i opadać w strugach deszczu. Zrobiła się na moich oczach istna kipiela. Co chwila nade mną błyskało się, grzmiało. Zamarłem pod okapem ze zdumienia... Dźwięk dzwonka ledwo uchwyciłem i poszedłem otworzyć wejściowe drzwi na ganek.

– Boże mój najmilszy! – syn przyjechał na rowerze...

– Tato... dowiedziałem się właśnie, że zostałem przyjęty do seminarium duchownego. Już ci przecież mówiłem o tym.

– Wejdz, synku! Nie stój tak w tym deszczu! Może napijesz się gorącej herbaty. Mam trochę sera, są pomidory, paszтет.

– Tato! Proszę cię, abyś na przyszłość przysyłał mi wszystko przez mamę, gdyż w regulaminie internatu jest pewien wymóg. Nikomu z zewnątrz nie będzie wolno do mnie przychodzić. Jedyne wyjątkiem są odwiedziny w co trzecią niedzielę każdego miesiąca, kiedy możesz widywać się ze mną w zakrystii, przed rozpoczęciem mszy świętej.

Siedzieliśmy po ciemku, a mnie się chciało płakać. Był jeszcze zupełnie małym dzieckiem, ale gdy zdarzało mu się wybijać ze snu, zawsze mnie wzywał do siebie. W autobusie miał zwyczaj kłaść rękę na siedzeniu tuż obok, żeby przypadkiem ktoś nie zajął „mojego” miejsca. Zostawiłem go. Wmawiałem sobie swoje cele życia, szukałem swojej prawdy... Nędzne były moje ojcowskie uczucia. Będę miał teraz kapłana zamiast syna. Nieźle. Moja żona twierdziła zawsze, że z takim usposobieniem nie powinienem być się żenić, tylko spędzać żywot w klasztorze. Wiele razy myślałem o tym jej spostrzeżeniu, które wydawałoby się dotyczyło mnie, a tymczasem odnoszę wrażenie, że skoro i ja, i mój syn przebywaliśmy u boku tej samej kobiety, było nieuniknione to

nasze „poszukiwanie siebie”, jak to syn określił stan rzeczy w naszej rodzinie. Najwidoczniej musiał odczytać te słowa z moich myśli, gdyż w przeciwnym wypadku nie mogłem sobie nawet wyobrazić skąd on w ogóle mógł cokolwiek wiedzieć o ich tajemniczej treści.

– Nie powinno być aż tak źle. Niedaleko seminarium jest drugie, gdzie będą się uczyć same dziewczyny.

Chciałem go odprowadzić, lecz stało się inaczej. W tym samym dniu, w którym on wyjeżdżał do seminarium, znalazłem się z kolegami w Gdańsku. Wśród transparentów i sztandarów zatelefonowałem do żony:

– Żałuję, że nie mogę być dzisiaj razem z wami.

– Może to i lepiej.

– Mam prośbę...

– Proszę... twój ojciec chce z tobą porozmawiać...

– Będzie mi smutno bez ciebie, synku i wybaczyć, że jakoś wszystko wyszło nie tak...

Za barierkami ktoś głośno krzyczał:

– Zdrada!

Z synem widzieliśmy się dopiero po miesiącu. Wolał wrócić na kilka dni do domu niż uczestniczyć w nieobowiązkowej wycieczce. Byłem z nim na spacerze, w kinie i w McDonaldzie. Mówił mi, że mu zimno w murach seminarium. Że jego dziewczyna z Warszawy nie chce się z nim spotykać i patrzył tak, jakby mnie nie widział. Środkiem uliczki za nami szła wrona i sobaczyła pod nosem. Coś musiało ją nieźle wkurzyć i to wprawiało mnie w nie lada zakłopotanie. Tak, jak to było w istocie.

Rowerzyści

Schowały się za szafą, widziałem je przecież. Najpierw jeden, za nim potem drugi. Chrabąszcze... Koty też sypiały już co noc na kanapie, sierpień jeszcze dopiero... Starsza pani, która mieszka obok, zaczepiła mnie, że od trzech dni mąż do domu nie wraca. Zmarło mu się ubiegłego roku... Zima ponoć nadejdzie wcześniej...

Kupiłem sobie kołdrę, ale nie ma we mnie chęci posiadania ani namiętności, nie zabiegam o nic. Wydaje mi się, że nie do końca zrozumiałem, co zesłał mi Krzyż planet i zaćmienie Słońca. Zapadam się w nieobecność, patrząc w osobę, w rzecz... Twarz mi się podobno zmienia nie do poznania wtedy.

Wybraliśmy się z synem na lody. Ręką pomachał przed moimi oczyma, ludzie patrzyli z politowaniem, a potem koleżanka zapytała mnie, co ja właściwie potrafię robić. Nie umiem posługiwać się komórkowym telefonem, ledwie nauczyłem się na komputerze pisać i czy ja wiem, co to jest magnetowid, automatyczna sekretarka i że to funkcjonalny analfabetyzm. Było mi głupio. Owszem... a nie wiedziałem, jak jej powiedzieć, że za to rzucały mi się w oczy różne osobliwe rzeczy...

Spacerowałem wczoraj aleją na przykład, kiedy zaintrygowały mnie twarze rowerzystów, tych samych, których spotykałem bez rowerów w mieście, w tramwaju, gdziekolwiek indziej... Pogodne, pełne spokoju, godności, nie te same... Myśl, że my wszyscy odczuwamy podobnie, wprowadzała we mnie, że co prawda, nowe komplikacje, ale nigdy nie pomyślałem do tej pory o rowerzystach w ten prosty sposób. Być może dlatego, że choć umiem jeździć na rowerze, poruszam się pieszo, nie wiem. Mógłbym tylko powiedzieć, co słyszę, kiedy patrzę na ich twarze.

Widzę twarz dziewczyny, a słyszę „Pisję Świętego Mateusza” i świerszcze, za chwilę znów słyszę odgłosy chrabąszczy za szafą, syk świeczki, boję się pełni Księżycy, nocy,

nieznajomych przechodniów, słyszę fortepian Rachmaninowa, boję się prawdy o sobie...

Jakiś młody człowiek zwraca mi uwagę, że tu ruch dla pieszych jest niedozwolony.

Zmierzchało... Słów pełno w głowie...



Na wydmach

Lubię pisać o dźwiękach. O dźwiękach, których nie widzę, a które w sobie czuję, słyszę. Tylko muszę się skupić, aby z nich nic nie uronić i wówczas one powoli zaczynają we mnie jakby oddychać.

O jednym z tych dźwięków jest i ta moja mała opowieść. Było mi trudno odnaleźć go w życiu. Czytałem o tym dźwięku, szukałem go w samotności nocy, dnia, podczas dalekich podróży i nieraz wyobrażałem go sobie bardzo różnie.

A był tak blisko. Znałem go z czasów dzieciństwa. Nie umiałem wtedy dostrzec go, ani wyrazić, ale takie to już są, być może, ludzkie koleje rzeczy i życia.

Byłem na wydmach, w ludzkim zgiełku i nad samym brzegiem, kiedy jakaś, kolejna fala ogarnęła mnie nagłym dreszczem. Dotknęła moich stóp, kolan, poruszyła słuch, umysł, duszę... Wszystko wokół zamilkło. To był ten dźwięk...

W czasie jego trwania, doznawałem ukojenia. Stałem zdumiony.

Wymarzyło mi się, żebym mógł w moim życiu w pełni doświadczyć i zrozumieć ten jeden jedyny dźwięk. Chciałbym nie pogubić się i w przyszłości jeszcze to wszystko opisać.



Nie ma to jak się zamyślić

Po dłuższym wahaniu postanowiłem w końcu zanieść zeszyt z opowiadaniem do redakcji pewnego miesięcznika i w drodze powrotnej wstąpiłem do Bułgarskiego Instytutu Kultury w nadziei, że jego dyrektor, a mój kolega pomoże mi ogłosić dziełka drukiem. Szybko jednak zorientowałem się, że Instytut nie tylko nie posiada pieniędzy na podobne cele, ale kolega jeździ w sprawach służbowych własnym samochodem i rozmawia przez telefon przyniesiony z domu. Wiadomo. Transformacje. A upał jakby stężał. Kolega zaproponował szklankę wody mineralnej. Podziękowałem. Na tacce leżały szklanki, ale było po nich widać, że są źle umyte. Słyszałem jak za ścianą kolega zwraca uwagę sekretarce. Wrócił za chwilę, zapraszając mnie na uroczystości ku czci twórców bułgarskiego piśmiennictwa Cyryla i Metodego, które miały się odbyć w kinie „Kultura” za tydzień. Ucieszyłem się, gdyż od dłuższego czasu nie przebywałem wśród rodaków.

Przemawiał ambasador, później obejrzelśmy film bułgarskiego reżysera. Co prawda Bułgarzy w odróżnieniu od Turków, Żydów i Cyganów nie wypadali w tym filmie najlepiej, niemniej ujrzałem na ekranie wiele zapomnianych twarzy i obyczajów z czasów dzieciństwa. Po za tym to my Bułgarzy, a nie kto inny, daliśmy Słowianom alfabet. I nawet kanapki z czerstwym chlebem nie zdołały zepsuć mi nostalgicznego nastroju.

Mając jeszcze to wszystko w pamięci, udałem się po kilku dniach na autorski wieczór pisarki przybyłej z Bułgarii. Postacią tytułową jej dwóch książek była jasnowidząca babcia Wanga, bułgarski fenomen. Urodzona na początku ubiegłego stulecia straciła podczas szalejącej burzy wzrok i od tamtej pory zaczęła przepowiadać. Autorka cytowała fragmenty książek. Uderzyło mnie w nich niesłychane podobieństwo myśli babci Wangi i myśli kilku znakomitych mężów na przestrzeni dziejów. Dziwne. To bardzo dziwne. Nawet

przez głowę mi nie przeszło posądzać tej naznaczonej kobiety ze wsi o to, że mogła zapożyczać myśli od kogo innego. Niezbadane są sposoby rozpowszechnienia myśli ludzkiej. Tym bardziej irytowała mnie postawa autorki, mówiącej o książkach, które napisała, a w których, z grubsza biorąc, zaledwie zdążyła zebrać wypowiedzi różnych ludzi, jako o czymś swoim. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o losie babci Wangi, zapytałem, jaka jest jej data urodzenia. To te moje numerologiczne ciągoty. Ale ponoć nikt nic dokładnie o tym nie wiedział. Nawet wtajemniczona sąsiadka z lewej, która słysząc moje pytanie, szepnęła mi, że daty urodzenia niezwykle ludzi nigdy nie wychodzą na jaw, tak jak było i z datą urodzenia Chrystusa. Na sali ktoś głośno się zastanawiał, dlaczego wszystkie bułgarskie rządy są tak zainteresowane babcią Wangą. Powstało zamieszanie, w wyniku którego nie dane mi było usłyszeć odpowiedzi. A zatem, w tym pytaniu musiało być coś ważnego. Ale co?

Jedyna myśl, na jaką wpadłem, będąc już w pokoju, była taka, że to poszukiwanie pretekstów do obudzenia narodowej dumy, której nigdy nie za wiele. Co pomyślawszy włączyłem telewizor. Na „Planete” zaczynała się emisja jakiegoś dokumentalnego filmu. W trakcie oglądania coraz bardziej budził mój podziw jego bohater, profesor Leibowitz z Hajfy. Mówił ze swadą o sprawach arabskich, żydowskich skomplikowanych, trudnych, mówił odważnie, robił długie pauzy. I nagle padło zdanie o antysemityzmie. Według profesora Leibowitza, antysemityzm to rodzaj cierpienia zasymilowanych Żydów.

Zaniemówiłem. I choć Żydem nie jestem, to zdanie z całą pewnością odnosiło się także do mnie. Dlaczego? Sam nie wiem. Ale gdy siedzę na obcej otomanie, odczuwam nieraz tęsknotę za więzią ze wszystkimi. Tęsknota wywraca mój świat, a jednocześnie trzymam się od ludzi z daleka. Nie wierzyłem, że można tak tęsknić. Aż w końcu przyzwyczai-

łem się do tej tęsknoty, a wcześniejsze próby, żeby się z nią rozstać tylko pogarszały całą sprawę. Tak czy owak, jak dotąd nikt o tym jeszcze nie wiedział. Licho nie śpi. Jedyne coraz częściej powtarzające się oznaki w postaci narowistego braku chęci do czegokolwiek w najmniej odpowiedniej chwili mogłyby zdradzić mnie w oczach innych.

Obejrzałem film i wyszedłem na spacer. Wracając zatrzymałem się koło „mojego” krzaczka i jak to robię, kiedy jest za późno, a boję się obudzić gospodynię zbyt głośnym spuszczeniem wody do sedesu, sikam. Zza ogrodzenia przyglądał się pies sąsiada i ku mojemu zdziwieniu, przechodząc obok niego, widzę, jak merda ogonem.

– Jakieś sugestie, piesku... Wiem, wiem, tylko chcę się upewnić... Na zawsze... Będzie niezły ubaw.



Stoję w korku. W autobusie tłoczno. Porwała się torebka i chowam zakupy po kieszeniach. Dokuczają mi żółądek. Jakiś człowiek obok czyta gazetę. Skrawek z wielkimi literami dotyka mojej twarzy. „Wojna!” Ciasno zrobiło się na ziemi. W pamięci utkwiły mi słowa przechodnia idącego Manhattanem:

– Ludzie! Gdzie ja jestem? Gdzie ja jestem?

Brzmiały jak lament. Jak wyrzut. Chciałoby się powiedzieć jak wyrzut naszego sumienia. Nie wiem skąd ci przyszło do głowy to słowo „nasze” – odpowiada coś we mnie – skoro zginęły tysiące niewinnych ludzi, z powodu ich śmierci zginą następni, niektórzy z nich dostaną odznakę bohatera, o niektórych świat szybko zapomni, ujęty zostanie diabeł, choć nikt z nim jeszcze nie wygrał, ale co szkodzi spróbować i dać mu nauczkę raz na zawsze.

– Proszę odsunąć się z przejścia.

– Przepraszam.

No i gdzie tu miejsce na „nasze”. Niech pomyślę. Czepiam się. Po prostu się czepiam. Pewnych rzeczy nie potrafię wyrazić w sposób adekwatny do tego, co czuję. Kłamię. Jasne, że kłamię. Potrafiłbym. Tylko nie chcę i już. A właściwie nie wyszedłbym o tej godzinie z pokoju, gdyby mnie nie podkusiło pójść do kina na film „Szkota dziewic”. Film taki sobie. Zaciekało mnie jednak jego przestanie o niebezpieczeństwach, na jakie napotyka, szukając swojej prawdy, a wspaniałomyślnie wciągamy w to innych, choćbyśmy nawet korzystali z pomocy sług bożych, Racine’a czy pozycji zajmowanej wśród ludzi.

– Mądrała – mówię do siebie, a myślę o moim szefie przewracającym błękitnymi oczami na mój widok:

– Poeta!

Ale nic nie powiedziałem. Taką ma pracę.

Ruszamy znowu. Z żółądkiem nieco lepiej. Więc może zdążę dojechać. Nie. Chyba jednak nie dojadę. Psia krew.

Nie dojadę. Nie wypuszczą mnie stąd na samym środku jezdni. Dochodzi głos z pętli:

– Znajdujemy się między ambasadą amerykańską a Placem na rozdrożu. Kierunek – Wilanów.

Do przystanku mam jeszcze daleko.

– A ja chcę być w pokoju.

– Weźmiemy to pod rozwagę i powiadomimy pana. Na razie proszę rozgościć się, nie utrudniając nam życia.

– Ale ja chcę...

– Kim jesteś? Dlaczego się nie uśmiechasz? Dlaczego jesteś sam? Dlaczego to, dlaczego tamto. Ha-ha i he-he. No dobrze, odpowiem:

– Bo ja... ja jestem czerwonoskórym protestantem. Inaczej ujmując dupkiem gotowym za pieniądze zrobić wszystko, ale trudno mi się z tym pogodzić. Nieraz miewam też, być może z tego powodu, głupie myśli i wtedy nęci mnie, żeby do domu kota wziąć. To zupełnie inne stworzenie niż ja. No cóż. Dobrze, że wszystko wyjaśniliśmy. Co znowu? Ach tak. Nie cierpię korków.

Nie cierpię!



Mój młodszy syn spędził wakacje u brata. Pomyślałem sobie, że nic lepszego nie mogło ich spotkać. Pobędą razem, zaprzyjaźnią się. Kilka razy rozmawiałem z nimi przez telefon i umówiłem się z młodszym synem na spotkanie zaraz po powrocie.

Zeschczupłał. I mimo oczekującej go poprawki z biologii wydał mi się jakby weselszy. Poznał dziewczynę. Trochę się w niej zakochał. Ale to już przeszłość. Odda jej zdjęcie i koiniec. W każdym razie po zdaniu egzaminu zamierzał porzucić naukę w seminarium i wrócić do Warszawy. Dość ma codziennych modłów od rana do wieczora. Poza tym będzie mógł częściej przebywać ze mną.

Jego nowa szkoła mieści się w pobliżu mojej pracy. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego postanowiłem do niego wstąpić. Stał na korytarzu oparty plecami o parapet okna i rozmawiał z człowiekiem, którego nie znam. Zauważyli mnie. Nie patrzyli jednak w moją stronę. Mówili coś przed siebie. Syn kiwnął głową. Czulem jak krew odpływa mi z twarzy.

– Czy mogę cię prosić na chwilę? Kim jest ten pan?

– Znajomy.

– Nie chcesz mi powiedzieć?

– Nie wiedziałem, że tu przyjdiesz. – Całuję go w policzek. Afera. I co jest charakterystyczne dla mnie, gdy się znajduję w sytuacji, której nie podołam, odchodzę. A jednocześnie czuję, jak przenika mnie dreszcz: mam o czym pisać. Skąd się tu wziął ten człowiek? Wygląda na to, że mój syn ma dwóch ojców. Ojej! No to co? Nic. Nie chcę się narzucać i tyle. Nie zawsze udawało mi się napisać coś śmiesznego, ale zastanawiam się też, idąc korytarzem nad ujęciem, w jakim Woody Allen wyreżyserowałby to, co mnie spotkało. Dlaczego Woody Allen? Nie wiem. To wszystko nie trzyma się kupy. Może dlatego, że nie posiadając kwalifikacji Allena, garbię się, nie umiem teraz napisać nic

sensowniejszego, ani też porozmawiać ze „znajomym” syna. Miły facet. Udawał, że mnie nie widzi. Zatrzymuję się. Wyjmuję notes i mimo moich bolesnych doświadczeń zapisuję w nim: „Jestem bohaterem filmów Woody Allena. To ważne.” Chyba powinienem postawić tu wykrzyknik. Jak muszę. „...To ważne!”

Wracam pośpiesznie do pokoju. Łażę z kąta w kąt. Siadam. Zaczynam pisać. Płaczą mi się przypadki, zdania, czas teraź-niejszy i przeszły. To są rzeczy znane. Nie szkodzi. Najważniejsze, że mam o czym pisać. Zabrakło mi jednak zakończenia. I przez kilka dni czekam na przygodę, zbieg okoliczności, cokolwiek, co mogłoby się nadać na pointę. A tu nic.

Pojechałem z ekipą na zdjęcia do Bytowa. W mieście bezrobocie. Od razu utkwiłiśmy na wyspisku śmieci z zamiarem sfilmowania ludzi, szukających różnych gratów. Lecz poza jednym człowiekiem i nami nie było tu nikogo. Trochę z nudów, trochę ze zniecierpliwienia kolega wyjął termos z kawą. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać. Popijając układałem w myślach scenariusz opowiadania.

Nazajutrz wracaliśmy samochodem do Warszawy. Grało radio. Szyby zasłonięte deszczem... Życie obchodziło mnie coraz mniej. Liczyło się jedynie to, co napiszę. Można rzecz prowadzę grę – z ludźmi, z samym sobą. Biorę rzeczywistość za wyobrażenie, a wyobrażenie za rzeczywistość. Moje życie, jak kawa na wyspisku śmieci, ma w sobie smak znieczulicy. Trzeczcy radio. Proszę kolegę o telefon.

– Witaj, synku. Nie, nie. Nie gniewam się na ciebie. Jeśli możesz, przyjdź jutro, pojutrze. Kiedy zechcesz.

Przyszedł. Poopowiadał o kolegach, o lekcjach. Ojcowie z seminarium nie chcieli, żeby odchodził od nich. Ale nie rozmawialiśmy już o tym, co się wydarzyło w szkole. Postanowiłem być uprzejmy. Wyjął z portfeli list zaadresowany do mnie. Zauważyłem, że miejsce, w którym do niedawna

nosił zdjęcie żony i moje, jest puste. Odprowadziłem go do drzwi.

W liście redaktor miesięcznika odnosił wrażenie, że w tekstach nie odcisnęła się moja indywidualność.

No i w ten sposób, jak mi się wydawało, opowiadanie dobiegło do końca. Życie chciało inaczej. Włączyłem telewizor i zobaczyłem w nim, jak giną ludzie. Wielu ludzi. Wszystko, co robię, myślę, o czym piszę, przestaje mieć znaczenie. Dzień później pod ambasadą amerykańską nagrywam wypowiedzi o tym, co się stało, kiedy podeszli starsi państwo ze Stanów. Dziękują mi. Trzymają mnie za rękę. Czuję ucisk w gardle. Jak dawniej... Jakoś mi głupio.



1. Spacer	7
2. Sen	8
3. Mój dziadek	9
4. Gdzieś na południu	10
5. Rozbierało mnie	12
6. Poranek	14
7. Wizja lokalna	15
8. Metamorfoza	16
9. Zwierzenie	18
10. Sekret	19
11. W autobusie	20
12. Biesiada	22
13. Kuternoga	23
14. U siebie	24
15. Rocznicą	26
16. Kwestionariusz	27
17. Człowiek i dom	28
18. Co za dzień	30
19. Inspiracje	32
20. Ambivalencje	33
21. Skwar	34
22. Ja chyba oszaleję	35
23. Melancholia	36
24. Dzień jutro zaduszny	38
25. Kroki	40
26. Nieciekawa historia	41
27. Skupuję nieprzydatne sny	42
28. Obietnica	43
29. Bonsoir my love	44
30. Wesele	46
31. Zawitości	48
32. Któż by w to uwierzył	50
33. O rzeczach mniej lub bardziej oczywistych	52
34. Wakacje	54
35. Interakcja ze słowną interpunkcją	56
36. Mrzonka	57

37. I ani cienia wiatru	58
38. Mieszane odczucia	60
39. Proste wyjaśnienie	62
40. Podwórko	64
41. Plac i okolice	65
42. Pani Helena	66
43. Andante ma non troppo	68
44. Jeszcze jedno wspomnienie	70
45. Dziewczyna z rysunkami	72
46. Perypetie	73
47. W mieście	74
48. Byłem wtedy i tam specyficznie	75
49. Noc sylwestrowa	76
50. Układ odniesienia	78
51. Osnute na motywach	80
52. A propos	82
53. Nonsensy	84
54. O ufnym spojrzeniu psa	86
55. Jeśli coś komuś pisane	88
56. Ad mortem defecatum	90
57. Wiosną	92
58. Wizerunek	94
59. Święta Barbara, grupowy seks i nietoperze	96
60. A było tak	98
61. Post factum	100
62. Debreee ucha!	102
63. Za późno na wszystko	103
64. Pizzicato	106
65. Moja koleżanka była czarownicą	108
66. Spotkanie	110
67. U schyłku lata	112
68. Rowerzyści	114
69. Na wydmach	116
70. Nie ma to jak się zamyślić	117
71. W korku	120
72. Kawa na wysypisku	122

